№ 21 Warszawa, dnia 10 (22) Maja roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

ŁUCYA.

Kilka chwil z życia

opisała

Eliza Rostworowska.

(Dokończenie).

We dwa tygodnie po owej uroczystości, późnym wieczorem, Łucya siedząc w swoim pokoiku pisała do matki:

„Nie mogę pospieszyć do ciebie mateczko moja biedna, ukochana; obowiązki przyjęte przeze mnie nie pozwalają na to, a gdyby nie rozłączenie z tobą, które mi serce zakrwawia, dobrze by mi tu było.

Hrabina Marya, anielską jest kobietą. To wszystko co w niej nie jest wzniosłe i piękne, stanowią owe naleciałości zewnętrzne, jakiem o ile mi się zdaje, podlegają chwilami wszystkie bardzo światowe kobiety. Mnie to jednak podobać się nie może i szczęśliwa jestem, gdy widzę hrabinę Maryą samą, w porannych godzinach, bo wtedy jest zupełnie sobą.

Za widzeniem mówiłam ci już mateczko moja o spotkaniu z panem Szczęsnym Zarembą. Jakże miałabym dziś ukrywać przed tobą, co mnie najżywiej zajmuje? W trzy dni po balu, przyszedł złożyć wizytę hrabinie. Było właśnie kilka osób obcych w salonie. Gdy wszedł, Marya zaledwie że go powitała, tak była zajęta rozmową z księciem G... on też zbliżył się wprost do mnie. Siedziałam sama w oddalonej framudze okna. Zaczął cichą rozmowę. Mówił mi o smutku, o walce z losem, o uczuciach i o szczęściu do którego każdy ma prawo. Odpowiadając wspomniałam o tobie mateczko, zaraz pytał o ciebie, mówił mi, jak w młodości, w dzieciń每 stwie prawie stracił rodziców, jak pracą własną zdobywał wiedzę, i jak teraz pozyskawszy stanowisko i spokój o jutro, usiłuje poznać świat i ludzi, jak go zajmują te studia i doświadczenia na żyjącym materyale dokonywane, niby medyk na martwem ciele.

— O tyle znam ludzi i siebie, mówił, że się jeszcze wielu rzeczy lękam w przyszłości.

— Mianowicie czego? zapytałam zdziwiona.

— Choćby nawet miłości, odparł, nie kochałem jeszcze, a gdy ta kryzys nastąpi?

— Będziesz pan wtedy szczęśliwy, odrzekłam.

— Oby słowa twoje pani były proroctwem, westchnął ściskając moją rękę.

O tak mateczko moja, wtedy będzie szczęśliwym, gdyż kobieta której się to serce dostanie w podziele, podziękowawszy za nie Opatrzności, uszczęśliwi go, choćby dłań z tronu stąpić miała.

Goście hrabiny rozeszli się, Szczęsny chciał też nas pożegnać. Marya zatrzymała go skinieniem. Pozostał. Na żądanie usiadłam do fortepianu, grałam smętną melodyą, która zdawała się wtórować pieśni duszy mojej. Pokój oświetlało światło jednej lampy, palącej się w alabastrowej urnie. Kwitnące kwiaty, ustawione w żardinierach, napełniały powietrze wonią, cisza jakaś błoga panowała dokoła.

W rogu pokoju stoi kanapka niziutka. Na niej siedziała Marya, wdzięcznie pochylona ku siedzącemu nieopodal Szczęsnemu; wiedli rozmowę cichą, jakby lękali się zamącić spokój, jaki nas otaczał. Grałam długo, długo i nie wiem dokądby trwała ta scena, gdyby służący hrabiny nie przerwał jej. Na tacy przyniósł telegram od plenipotenta. Podobno takie depesze dość często przychodzą i zwykle poprzedzają nadesłanie pieniędzy.

— Otóż to ta rzeczywistość zawsze musi przerwać błogie chwile zapomnienia rozśmiała się Marya.

Przestałam grać.

— Graj Łucyo, mówiła hrabina, usiłując zawiązać napowrót przerwaną rozmowę. Lecz się jej nie powiodło, mnie nie szła już jakoś muzyka, Szczęsny powstawszy nie usiadł więcej, słowem, czar się rozwiał. Odszedł. Marya słowa mi o nim nie powiedziała.

Od dnia tego często go widuję. Przychodzi niekiedy wieczorem, słucha mej muzyki, rozmawiamy wiele. Gdy smutna jestem, on stara się mnie rozweselić, mówi mi o tobie mateczko i o lepszej przyszłości. Niekiedy w rannych godzinach odwiedza hr. Maryą, lecz wtedy nie widzę go, gdyż są to godziny, przeznaczone dla mnie na samotność. Lubię te chwile, zwłaszcza gdy wiem że on nie przyszedł.

Postaram się mateczko droga być u ciebie niezadługo. Kochaj twoje biedne dziecię, jak ono cię kocha.

Łucya.

Odebrawszy list ten staruszka, zalana łzami padła na kolana przed obrazem Boga Rodzicy.

— Czy to być może, moja droga, mówiła do hr. Maryi jedna z jej znajomych, przybywszy do niej z zasobem mniej więcej prawdziwych wiadomości, że ta twoja towarzyszka wychodzi za mąż?

— Kto, Łucya? Za kogóż? zapytała zagadnięta.

— Za tego inżyniera, pana Zrembę, czy Zarembę, co to był u ciebie na balu.

Lekki rumieniec przebiegł po czole Maryi. Zadumała się chwilkę.

— Dotąd nic o tem nie wiem, odparła niedbale, wszelako może to być, oboje młodzi, przystojni, bardzo byłaby z nich para dobrana.

Nazajutrz wszyscy znajomi hrabiny mówili iż Szczęsny stara się o rękę Łucyi.

— Teraz rozumiem częste odwiedziny tego pana. *toujours cela ma paru suspect.*

— Poczciwa Marya że na to pozwala, nie lubiłabym mieć podobne konkury w swoim domu, *c'est de si mauvais genre.*

Tak mówiły przyjaciółki hrabiny. Powtarzano to sobie w braku innych wiadomości, wieść doszła do uszu Łucyi, biedne dziewczę uwierzyło w prawdę pogłoski, a gdy tegoż wieczora Szczęsny nadszedł, żywy rumieniec oblał jej czoło, serce silniej zabiło w piersi. Pierwsze uczucie przyniosło jej chwilę szczęścia.

Pochwyciwszy w przelocie wolną godzinę pobiegła na odległą uliczkę miasta. Z rumieńcem na licu rzuciła się w objęcia matki, pytana przez nią w krótkich urywanych słowach, wypowiedziała wszystkie swe nadzieje i marzenia. Staruszka zalana łzami potrząsała smutnie głową i wzdychała głęboko: dziewczę któremu jutrzenka wymarzonego szczęścia zaświtała w oddali, uspakajała ją szepcząc ścicha.

— Nie płacz mateczko, córka twoja jest bardzo szczęśliwa.

Dziwne przewroty działy się od niejakiego czasu w umyśle hr. Maryi. Rzecz niesłychana, od drzwi jej mieszkania odprawiano napływających gości zwykłem: „Pani hrabiny nie ma w domu“ w które nikt prawie nie wierzył. Zadziwienie wywołane niezwyczajnością faktu, nasuwało na usta przybyłych niejedno pytanie, lecz że po większej części były to osoby należące do tego świata, który nosząc na licu konwencyonalną maskę tego, co sam zowie: *l'usage du monde*, z pod jakiej prawie nigdy nie dobywa się na zewnątrz co w myśli tleje, znajomi hrabiny zanotowawszy na kartkach kroniki dziennej nową wiadomostkę, dopełnioną własnym komentarzem, który u każdego brzmiał inaczej i nosił cechy wybitne charakteru i zasad autora, odchodzili pocieszać się gdzieindziej, po zawiedzionej nadziei, oglądania przez chwilę pięknego oblicza uroczej hrabiny.

Marya całe godziny spędzała w swoim buduarze. Dziś stan jej serca nie był już dla niej tajemnicą. Kochała, tą miłością wielką, niezwyciężoną, ognistą, jaka budzi się u istot, które doszedłszy do pełnego życia rozwoju nie kosztowały jeszcze z tej nieziemskiej czary.

Między sercem a umysłem kobiety toczyła się zacięta walka. Zrodzona i wzrosła w arystokratycznem otoczeniu, ceniła nad wszelki wyraz zasady jakie wszczepione ręką ojca, przyjęły i rozrosły się w jej umyśle. Dotąd dobrowolnie z uśmiechem wesela przyjmowała na barki swoje jarzmo przesądów i uprzedzeń, dziś gdy po raz pierwszy wypowiedzieć im przyszło wojnę, próba zastała ją nieprzygotowaną, nieświadomą życia i prawdy.

Gdy po raz pierwszy w oku Szczęsnego dostrzegła skrę uczucia, oburzona, gniewna, uciekła od niego, od swych myśli, chciała uciec od samej siebie. Mimo to, czas powszechny burzyciel, dokonywał swego. Zwolna, tonąc we łzach gniewu, Marya spostrzegła ze strachem, iż codzień, co godzina prawie jedna cegiełka, spadała ze sklepienia gmachu, jaki w umyśle jej wystawiły lata; i zadrżała gdy w końcu z owej budowy, spostrzegła już tylko ruinę. Postanowiła walczyć, gromadzić gruzy, stawiać napowrót ów gmach odwieczny.

Odpychany słowy, pociągany wzrokiem, Szczęsny powracał ciągle. Marya wywarła na nim wrażenie które zawiązało mu oczy, na wszystko co ją otaczało. Kochał ją i to zdawało mu się dostatecznem, by między nią a nim rzucić most, choćby po nad dzielącą ich otchłanią, przesądów i dumy. Patrzył na walkę toczącą się w umyśle Maryi, znał świat i ludzi, a mierząc nierówne siły mrzonek i uczucia, wiedział naprzód po której stronie było zwycięztwo.

Łucya częściej teraz niż dawniej przywoływana do hrabiny, czytywała jej utwory lekkiej prassy, których Marya najczęściej nie słuchała. Niekiedy wśród rozpoczętego rozdziału przerywała czytanie słowami:

— Zostaw mnie samą moje dziecię, przyjdziesz trochę później, czuję się zmęczoną i myśli skupić nie mogę.

Łucya składała książkę, a odchodząc zapytywała samej siebie:

— Który z nich jest powodem jej roztargnienia: Książę G... hrabia N... czy też ów magnat wołyński?

Dnia jednego gdy wyszedłszy z pokoju hrabiny, Łucya przechodziła przez szereg salonów, niespodziewanie spotkała we drzwiach Szczęsnego. Zdziwienie wywołało okrzyk na usta, żywy rumieniec oblał jej lice. Spuściła główkę, daremnie usiłując wyjąknąć słowo. On patrzył na nią tem spojrzeniem sięgającem do głębin najskrytszych serca. Widział jej pomieszanie i nie zrobił nic by ją zeń wywieść. Stał tak długo, jakby zatopiony w myśli, która niespodziewanie po raz pierwszy przebiegła mu po głowie. Wreszcie rzekł:

— Panno Łucyo, niespodziewałaś się pani widzieć mnie tutaj, o tej dnia porze, w której drzwi hrabiny zamknięte są dla obojętnych?

Łucya nic nie odrzekła, silne wzruszenie miotało nią, serce biło gwałtownie, nadzieja szczęścia rozpromieniała jej oblicze. Była piękną, tą rzewną głęboką pięknością istot, które wyrosły na łonie cierpienia, dla których troska była kolebką, nauczycielem, towarzyszką nieodstępną życia.

Szczęsny spostrzegł zmianę zaszłą na jej obliczu, po raz pierwszy czytał w jej sercu i zrozumiał prawdę. W męzkiej piersi zadrgały najszlachetniejsze uczucia, słowa zamarły na ustach. Poddasze, matka staruszka, troski przeszłe o których Łucya mówiła mu tyle razy, przesunęły się przed jego oczyma.

— Biedne dziecię, wyszeptał i podniósł jej rękę do ust swych. Dziewczę wyrwało dłoń swą z jego uścisku, i we łzach szczęścia, pobiegło rzucić się na kolana przed wizerunkiem Chrystusa.

Szczęsny stał nieporuszony: myśli w nieładzie cisnęły się mu do głowy.

— Co czynić teraz? Czemuż wcześniej nie postrzegłem tego! Poświęcić jej życie, dać szczęście istocie, która dotąd tylko gorzką walkę z losem poznała, czyż to nie dostateczne, by zapełnić wszystkie dni życia? Teraz już za późno... Co mi dziś powie Marya?

Zastukawszy lekko do drzwi buduaru, Szczęsny wszedł nie czekając upoważnienia, wiedział bowiem że był oczekiwany. Marya nie odwróciła głowy, nie podniosła oczów na przybyłego. Milczenie trwało długą chwilę. Szczęsny patrzył na nią... Pojął iż chwila zwycięztwa nadeszła. Ujął jej rękę, której mu wziąć nie wzbroniła.

Żywy promień radości błysnął mu w oczach, w sercu tajemny głos wyszeptał ścicha: Biedna Łucya!

Nazajutrz rano wbrew przyjętemu obyczajowi, Marya wcześnie wyjechała na miasto. Do pokoju Łucyi wszedł służący i podał jej na srebrnej tacy list opieczętowany. Poznawszy pismo hrabiny, Łucya rozerwała szybko kopertę. Do nóg jej upadło kilka biletów bankowych. Ujrzawszy je, z przestrachem prawie, rozłożyła papier, na którym Marya pośpiesznie nakreśliła te wyrazy:

„Zrobiłam ci zawód kochana Łucyo, lecz nie ma w tem mej winy, sama nie spodziewałam się tego co zaszło. Jutro opuszczam Warszawę, jestem bowiem narzeczoną pana Szczęsnego Zaremby.“

Marya.

Łucya skamieniała. Instynktowo, bez świadomości własnych czynów, chwyciła maleńki kuferek, z którym tu niegdyś przybyła, zbiegła ze wschodów bez jęku, bez łez, bez czucia, a rzuciwszy się w pierwszą spotkaną dorożkę, głucho bez dźwięku w głosie, wymówiła nazwę odległej uliczki i numer domu.

Staruszka siedziała w krześle odmawiając modlitwy za szczęście jedynego dziecięcia, gdy krok niepewny dał się słyszeć na wschodach. Powstała otworzyć drzwi. W progu stanęła Łucya zimna, marmurowa blada jak widmo.

— Dziecię moje! krzyknęła matka chwytając ją w objęcia. Lecz nim zdołała powstrzymać, Łucya osunęła się i padła u stóp jej zemdlona.

Długie dnie i noce spędziła staruszka u łoża jedynego dziecięcia, aż jednego wiosennego poranku, Łucya przyszedłszy do przytomności, rzekła ściskając wychudłą rękę:

— Uspokój się mateczko, ja żyć będę dla ciebie.

BODAJ TO WIEŚ!

stara gawęda

przez

Ludwika Niemojowskiego.

Gadają na mnie ludzie żem się obarłożył,
Że siedząc jak wilk na wsi duszę w skrzyni grosze,
Lecz bogdajbym mosanie i jutra nie dożył,
Jeżeli mi stołeczne smakują rozkosze.
Łyk w mizernej kondycyi zażywa kłopotów,
I mając wciąż za łokieć, wagę albo miarkę,
Lecz szlachcic mosterdzieju choć do korda gotów,
Gdy leciwy grunt orze i zbiera tatarkę,
Pszenicę, żyto, owies, napełniając gumna,
W plon obfity pomimo słotnej aury przemian,
A jeżeli gospodarka mądra i rozumna,
To gleba sporo grosza przynosi dla ziemian.
Bywa, że człek przy pracy zmoknie niby zając,
Gdy w deszcz, plusk i szarugę pilnuje podwórka,
Lecz są i dnie wesołe: ot nieprzymierzając,
Ponowa, polowanka, ogary, dwururka...
Co? aż dusza się śmieje. Patrzysz w okna... biało!
O jeżeli jest chyrlak z tak babską naturą,
Któremuby w tę chwilę serce nie zadrgało
Z oskomy i radości, to go nazwę ciurą,
Ba nawet niedołęgą; bo powiedźcie proszę,
Wy co macie od młodych lat myśliwski narów,
Jakie to są subtelne mosanie rozkosze,
Gdy róg zagrzmi i sfora wyszczutnie ogarów!
Hejże ha! dalej na koń gdzie poniosą oczy:
Bęc! bęc! huknęły strzały dokoła z kolei,
Ten rogacza oprawia, ów szaraka troczy,
Psów zaś gończych piosenka grzmi chórem wśród kniei.
Furdaż to ono życie? a jednak brukowiec.
Mówi, wolę gród ciasny niż wiejskie przestworze,
Gdzie człek siedzi wśród koni, wołów, krów i owiec,
I jak kret całe życie grzebie się w swej norze;
W końcu mieszczuch aż takie rznie dictum acerbum,
Na wsi długie wieczory!... Długie? jak dla kogo,
Mnie zdają się zbyt krótkie, chociaż klnę na verbum,
Żem progu dworca po ćmach nie przestąpił nogą;
Bo gdy mroki zapadną jest siła roboty,
Z podstarościm co zwykle zjawia się w tej porze,

Rachujemy zbiór siana, siew jarzyn, omłoty,
Ile jagniąt przybyło, jak plonuje zboże,
I wszystko dokumentnie spisujemy społem,
A gdy już podstarości z komnaty wychodzi,
Wnet z twarzą rozjaśnioną, uśmiechem wesołem,
We drzwiach domu się zjawia ksiądz pleban do-
[brodziej,
Do partyi maryasza lub kiksa—ot dobrze,
Pater sporo miedziaków nabrał w dzień zaduszek,
A i z ślubów grosz jakiś kapnął mu w oktobrze,
Trzeba ulżyć ciężaru, niech płaci staruszek!
Jeźli tym kształtem prawię w krotochwilny sposób,
Czynię to gwoli chęci poigrania słowem,
Bo się zawzdy liczyłem do statecznych osób,
Dla których gra zabawą nie szpetnym narowem.
Zgraliśmy partyą jedną, drugą, trzecią, czwartą,
Lecz jeszcze pora wczesna, nikt nie ma ochoty,
Wylegiwać w pościeli, wciąż z księgą otwartą,
Siada kapłan i czyta nam świętych żywoty,
Alboteż w jakiej dziwnie kunsztownej osnowie,
Opowiada epoki starożytnej dzieje,
Jako wielcy poeci i patryarchowie,
Przechodzili rozliczne na świecie koleje,
Jako pierwszy człek z rajskich wygnany ogrodów,
Zasprosną chuć do fruktu twardą ziemię orał,
Jako z niego tysiące powstało narodów,
Koniec końcem że piękny ztąd się składa morał,
Ot i finis. A potem spóźnionym wieczorem,
Gdy już kundle z łańcuchów pospuszczano na noc,
Gdy każda sprawa poszła zwykłych szlaków torem,
I nam pora ledz we śnie, więc zasię, dobranoc!
To ci wieś mosterdzieju! A grody, a miasta,
Kędy człek zblichtrowany w ciasnej atmosferze,
Wśród murów, swędu, błota, na bruku wyrasta,
Są karystyą przyrody, powiem aści szczerze.
Bo co to mi za życie nędzne i mizerne,
Dusić się w swędzie, smrodzie, zasklepić wśród cieśni,
Nie znać czem pól, łąk, lasów przestrzenie niezmierne,
Nie słyszeć szumu borów ni słowiczej pieśni,
Dreptać wciąż w drobnym kółku, chwilowych omamień,
W których szych zwie się złotem, frymarka rozumem,
Drgające ciepłem serce zamienić na kamień,
Zmieszać byt samoistny z różnorodnym tłumem,
A straciwszy powagę statecznej persony,
Stać się maluczkiem zerem w tym kamiennym światku...
O jeźli mi kto na schwał pleść będzie androny.
Stawiąc gród wyżej wioski, to powiem: łżesz bratku!
Alboteż omamiony z samego początku,
Nieprzystojnej frymarki szpetnemi narowy,
Zatarłeś wszelkie ślady zdrowego rozsądku,
Przekładając gwar miasta od ciszy wioskowej.

EUGENIA LAWAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Wkrótce zebrani zostaliśmy w sali jadalnej. Hrabina była tak dowcipną i wesołą; że niepodobna było patrzeć bez uwielbienia; czarowała wszystkich, dla każdego miała grzeczne słówko z wyjątkiem tylko pana Chevalier. D'Avesnes jednak na okazywaną sobie uprzejmość odpowiadał z lodowatą grzecznością, której najczulsze spojrzenia nie potrafiły stopić. Doprawdy gniewał mnie tą filozofią prawdziwie angielską niezgodną z harakterem narodowym Francuzów.

Śniadanie szybko przeminęło; nikt z nas nie miał chęci do jedzenia, a i rozmowa szła leniwo, bo nawet pani de la Fare nie podsycała takowej. Pokilkakrotnie rzuciła powabnym wzrokiem na d'Avesnesa, ale ten tak uporczywie patrzył w inną stronę, że ich oczy nie spotkały się nigdy.

Hrabina widocznie chciała dzień dzisiejszy uczynić stanowczym w swojem życiu, bo skoro przeszliśmy po śniadaniu do salonu, odwołała mego przyjaciela na stronę mówiąc wręcz do niego.

— Dlaczegoż pan tak zapominasz o dawnych przyjaciołach? Nietrzeba być samolubem, ale należy pamiętać, że niektórym osobom jego nieobecność sprawia nader wiele przykrości.

— Przy pracy i nauce, odpowiedział d'Avesnes, a szczególniej przy gospodarstwie, gdzie nawet w wydziale ogrodnictwa zniewolony jestem do pracy ręcznej, zdziczałem nadzwyczajnie i w ogóle uciekam od wielkich zebrań. U pani hrabiny zaś tak ludno, tak gwarno i tak wesoło, że zrobiona wzmianka o tęsknocie jest tylko dowodem jej wysokiego ugrzecznienia. Rozliczne wrażenia codzienne zacierają prędko wspomnienie o nieobecnym. Dla teraźniejszości uroczej przeszłość nie ma żadnego znaczenia, a przyszłość o tyle tylko zwraca na siebie uwagę, o ile daje rękojmię uciech, rozrywek i nowych drgań serca.

Hrabina pobladła.

— Nietrzeba nigdy sądzić z pozorów, odpowiedziała, bo często bardzo głośna uciecha jest tylko pokrywką cierpienia tęskniącego serca.

— Szczególny to objaw smutku i boleści, odpowiedział d'Avesnes z uśmiechem.

— Bywa jednak często najprawdziwszym, odrzekła pani de la Fare jakimś dźwiękiem głosu zmienionym, jakby łzawym. Trudno abym mówiła otwarciej, trzebaby przedewszystkiem zmienić obyczaj panujący we Francyi. Kobieta przecież nie zapytuje ale odpowiada.

— To prawda pani, odrzekł d'Avesnes, ale jam już tyle razy zapytywał na próżno, że do dalszych prób brak mi odwagi... i chęci.

Hrabina zbladła, zaciąwszy usta nie wymówiła ani jednego wyrazu.

D'Avesnes wziąwszy kapelusz na pożegnanie złożył głęboki ukłon zabierając się do wyjścia. Eugenia podeszła ku niemu mówiąc z przejęciem:

— Nie podziękowałam panu dotychczas nie mogąc zebrać wątku myśli. Wszystko cobym panu mogła powiedzieć, będzie tylko słabym dowodem mej wdzięczności, bo w istocie byłeś i jesteś prawdziwą dla mnie opatrznością.

— Szanowna pani, odpowiedział d'Avesnes, uścisnąwszy serdecznie dłoń panienki, nie pani moim, ale ja jestem pani dłużnikiem. Jej praca, i poświęcenie zniewoliły i mnie do spojrzenia na życie okiem poważniejszem. Oddaliśmy więc sobie wzajemną przysługę jeżeli jednak mam prawo do jakiej wdzięczności, mówił d'Avesnes przechodząc w żartobliwy ton mowy, to takową łatwo okupię. Skoro pani zrobi wybór, proszę mnie wezwać na starszego drużbę.

Do mnie zaś rzekł:

— Hrabina chce wojować zalotnością, broń to zużyta mnie trzeba czego innego.

Rozdział V.

Powracam pisze dalej Górecki do chwilowo przerwanego wątku opowiadania, dotyczącego osobistych moich wrażeń i wypadków.

Wspomniałem już i o roju myśli i o mem osłupieniu, skoro poznałem pannę Eugenią Laval. Busson więc spotwarzył ją jak najniewinniej, bo sama obecna napaść wykonana przez Karola Pigrenier, była w tej mierze najlepszym dowodem. Zresztą pani de la Fare, należąca do pierwszorzędnego towarzystwa nie przypuściłaby nigdy do poufałości panienkę, mającą jakikolwiek cień na swojem postępowaniu. W ostatku przyznany jej wieniec cnoty niweczył wszelką wątpliwość nawet największego niedowiarka.

Opowiedziana historya jej życia wzruszyła mnie do łez Biedna aż w samobójstwie szukała środka ratunku przeciwko następstwom intrygi, usnutej z piekielnem wyrachowaniem. Niegodziwy Busson nie daje jej na chwilę wypoczynku. Mnie a nie kogo innego nazwał głupcem i niedołęgą, i bardzo słusznie. Wodzony jak niemowlę na pasku, ulegałem ślepo jego kierunkowi. Chce zięcia milionowego, gotów zawrzéć przymierze z największą zbrodnią, aby tylko osiągnąć cel zamierzony. Popchnął mnie nawet do grona prześladowców Eugenii...

Pigrenier tak jak pomylił się co do d'Avesna, tak zbłądził jeszcze bardziej w swojej karteczce wspominając o miłości Eugenii dla mnie. Ona musi nienawidzić i gardzić mną, bo niedołęztwo jakiego dałem dowody, nie mogło wzbudzić innego uczucia.

Dziwny jednak wpływ wywiera na mnie, chociaż wymieniłem z nią zaledwie kilka wyrazów. Nie jest to gwałtowne uczucie szalonej namiętności, ale jakiś stan słodyczy i wewnętrznego zadowolenia, dający przykład nieomylny prawdziwego szczęścia. W jej towarzystwie staję się lepszym, szlachetniejszym, zapominam o wszelkich goryczach życia i cały rodzaj ludzki tak przyjaciół jak nieprzyjacioł przycisnąłbym do swego serca. Prócz rozmowy z panią de la Fare byłem prawie ciągle milczący. Mówię prawie, bo w czasie śniadania bąknąłem kilka wyrazów do Eugenii, o pogodzie, o pięknym dniu jednem słowem coś bardzo nierozumnego.

Eugenia będąc nadzwyczajnie wzruszoną, nie mogła podsycać rozmowy, to też utonęliśmy w najzupełniejszem milczeniu.

W chwili dopiero pożegnania, Eugenia obdarzyła mnie spojrzeniem szlachetnem, składając podziękowanie za udzieloną jej obronę.

— Tem panu jestem wdzięczniejszą, dodała, bo jako nieznajoma, nie miałam najmniejszego prawa liczenia na jego pomoc.

— Nie jesteś mi pani nieznajomą, odpowiedziałem ze wzruszeniem; wspomnienie o pierwszem poznaniu przechowałem i przechowam całe życie. Prawdopodobnie ma pani o mnie jak najgorsze wyobrażenie, ale... łatwowierność nie zawsze jest dowodem niedołęztwa.

Odpowiedź moja, chociaż dosyć dziwaczna, zrobiła jednak jak najlepsze wrażenie na pani de la Fare; uścisnęła mnie serdecznie za rękę mówiąc:

— Spodziewałam się tego, a proszę niezapominać o jutrzejszym obiedzie.

Eugenia w milczeniu spuściła oczy i po raz pierwszy od opisanej napaści, lekki rumieniec przyozdobił jej oblicze.

Przez cały czas pobytu w domu pani de la Fare nie pomyślałem ani razu o Józefinie. Dopiero w chwili powrotu, skoro dostrzegłem mury pałacu wzbudziły się wspomnienia dotyczące Józefiny. Stanęła mi w wyobraźni z całym blaskiem właściwego jej uroku.

— Niepodobna przypuszczać, myślałem, aby wiedziała o wszystkich podstępach i intrygach swego ojca. Niepodobna przypuszczać aby kobieta posia-

dająca tyle wdzięku i tak prześliczne oczy, mogła mieć współudział w działaniu tyle poniżającem.

Przybywszy do pałacu, przedewszystkiem zapytałem, czy jakie listy nie nadeszły.

Oddano mi jeden list nadesłany pocztą. Z napisu poznawszy rękę Piotra Brodzkiego, schowałem obojętnie list do kieszeni, bo myślałem głównie o spodziewanej odpowiedzi od Józefiny.

Zresztą odebranego listu nie miałem czasu czytać, zastawszy oczekującego na mnie Pawła Mercier.

Słówko o nim.

Na dworze królowej angielskiej, cesarza austryackiego a nareszcie sułtana tureckiego, służył za kucharza i rzeczywiście był genialnym w swej sztuce. Idąc drogą właściwą sobie mógł dojść do niepospolitego majątku, ale na nieszczęście lubił udawać wielkiego pana, nic nie robić a szczególniej grać w ruletę pochłaniającą wszelki przez niego odłożony zarobek. Ojciec mój poznał go u wód, a ponieważ był smakoszem polubił go nadzwyczajnie.

Znając kuchnie wszystkich narodów, zachwycił mego ojca szczególniej barszczem z uszkami i pieczenią huzarską. W roku następnym Mercier, zgrany do ostatniego grosza, wsadzony został do więzienia za długi. Ojciec mój wydobył go z aresztu, później wyjechawszy do Ameryki, Mercier bawił jakiś czas w domu mego wuja, gdzie nawet poślubił jakąś wdowę dosyć majętną. Od tego czasu nie miałem o nim najmniejszej wiadomości, aż dopiero obecnie spotkałem go zamieszanego do grona prześladowców Eugenii.

Mercier wobec mnie był zawstydzony bardzo.

— Nieszczęście ściga mnie ciągle, mówił ze spuszczonemi w ziemię oczami. Poślubiwszy Amerykankę mającą ze sto pięćdziesiąt tysięcy franków majątku, zatęskniłem do Europy; wychowany na dworach królewskich, nie mam wcale usposobienia republikańskiego. Mając jednak we wszystkich krajach stałego lądu licznych wielbicieli, wziąłem pasport na imię John Waksfelda, pierwszego męża mej połowicy.

W drodze czując zgryzotę sumienia, postanowiłem zapłacić wszystkie moje długi. Odegrawszy w ruletę wszystko co straciłem kiedyś, mógłbym to uskutecznić z największą łatwością. Niestety! nadzieje moje nie spełniły się, a co gorsza przegrałem cały majątek żony.

Biedaczka umarła ze zgryzoty, a ja po różnych przejściach znalazłem się w domu Karola Pigrenier, gdzie chciałem odpocząć czas jakiś przed powzięciem stanowczego zamiaru na przyszłość.

Wysłuchawszy opowiadania, rzekłem z twarzą zachmurzoną:

— Dotychczas znałem pana jako gracza, bezwzględnie zgubna to namiętność, ale ostatecznie nie hańbiąca, jeżeli nie jest połączoną z innemi występkami.

Z tego stanowiska rozbierane czyny pańskie zostawiają wiele do życzenia. Przegrałeś pieniądze nie własne, i w prawdziwem gronie łotrów ścigasz najpoczciwszą w świecie osobę.

— Nieboszczka moja żona wybaczyła mi wszystko na łożu śmiertelnem, a zatem nie ma co o tem wspominać, odpowiedział Mercier pokornie, co się zaś tycze panny Eugenii Laval, to brałem to za zwykłą awanturę miłosną, nie przywiązując do niej żadnego głębszego znaczenia.

— Nie kłam! odpowiedziałem głosem surowym, nie zapominaj o spotkaniu w parku, gdzie podsłuchałem waszą rozmowę z Bussonem.

Mercier zaczerwienił się po uszy, a westchnąwszy rzekł:

— Prawda, jestem wielkim winowajcą, ale daję słowo honoru, że do żadnych spraw brudnych nie przyłożę ręki. W domu Karola Pigrenier zostanę tylko do rozegrania zakładu, a jeżeli zdobędę tysiąc luidorów, to jadę do Niemiec dla odzyskania poniesionych strat. Później osiadam we Francyi, spokojnie oczekując na koniec życia z filozoficzną obojętnością. W każdym razie wyuczę panu kucharza, aby tradycya mej sztuki nie zaginęła. Jeżeli moje nadzieje w Niemczech były zawiedzione, to zrywając z kłamliwemi tytułami, wchodzę sam w obowiązki, ale nigdzie indziej, tylko w domu pana. Dla rodziny Góreckich przelałbym ostatnią kroplę krwi, bo jeden tylko ojciec pański, skoro byłem w nieszczęściu, wyciągnął ku mnie rękę pomocy. Syn jego zrobiłby to samo, jestem tego pewny, bo znam dobrze szlachetność serc polskich.

Mercier wzruszonym był aż do łez.

Uspokoiwszy się nieco począł mi opowiadać wszystkie wiadome sobie tajemnice z największą szczerością. Znalazłem tam potwierdzenie wielu własnych domysłów, ale zarazem wiele szczegółów niepospolitej wagi niewiadomych mi dotychczas.

Busson wskazał Pigrenier'mu środek do zmuszenia Eugenii aby w jego towarzystwie wróciła do zamku Verrieres.

Młodzież zebrana uważała za pewnik miłość moją z Józefiną, bo osądzono mnie z góry za niezdolnego do oparcia się jej zalotności. Józefina znów mogła pokochać jedynie człowieka, mającego kilka milionów majątku, a ja właśnie zostawałem w tych warunkach.

Nadto Mercier był prawie przekonanym o udanej chorobie Bussona, chcącego tym sposobem ułatwić poznanie moje ze swoją córką.

W ostatku przechodząc do podsłuchanej przeze mnie w części rozmowy wczorajszej, objaśnił mnie o zrobionej przez Bussona wzmiance, dotyczącej Władysława Jasieńskiego, jakoteż i chęci przeszkodzenia jego przyjazdowi do Europy.

— Nie życzę nikomu nic złego, mówił Mercier, ale co do Władysława Jasieńskiego, to radbym tak dla dobra ludzkości, jakoteż dla jego własnego dobra, aby spoczywał gdzieś pod skałą na dnie oceanu. Człowiek to nadzwyczajnie złośliwy, chytry i podstępny. Serce jego bije samą nienawiścią, nie można tam dostrzedz najmniejszego szlachetnego uczucia. Ś. p. jego ojciec otworzył mi dom gościnnie, a on nie dał mi pokoju nigdy, nazywał mnie darmozjadem, i nareszcie zmusił do wcześniejszego, aniżeli myślałem wyjazdu. Jeżeli ziemia nie została oswobodzona od tego padalca, jeżeli przyjedzie do Europy, to jako dawny przyjaciel ś. p. ojca pańskiego, daję radę abyś w układach majątkowych postępował z nim z największem niedowierzaniem, bo on ludzi łatwowiernych osadza na piasku, szydząc z nich potem niemiłosiernie.

Na mowę Mercier'go nie zwracałem wiele uwagi; myśl moja zajętą była głównie przypuszczeniem udanej choroby Bussona. O podobnej przebiegłości nie miałem nawet wyobrażenia. Widziałem przecież na własne oczy omdlenie i bezprzytomność, śmiertelną bladość i rzewne łzy, płynące z oczów miałożby to wszystko być udaniem? Zresztą mniejsza o jego osobistość: wnosząc z innych przykładów był on zdolnym do wszystkiego, ale cóż w takim razie można było pomyśleć o Józefinie. Niepodobna było przypuścić, aby przed wzrokiem córki utajonym był prawdziwy stan zdrowia ojca. Należała więc do intrygi i świadomą być musiała wszystkich niecnych podstępów, użytych przeciwko Eugenii.

Po odjeździe Mercier'go szerokiemi krokami przebiegałem pokój, szukając na próżno uspokojenia. W tak ważnej okoliczności nie umiałem znaleźć ostatecznego wyrazu; samo twierdzenie Mercier'a oparte było tylko na przypuszczeniu. Obudzona jednak raz podejrzliwość niełatwą jest do uśpienia.

Wśród takiej walki wewnętrznej, przypomniałem sobie o dwuznacznych wyrażeniach marszałka Chippault w dniu tyle pamiętnym choroby Bussona i przyjazdu Józefiny. Bezzwłocznie kazałem go prosić do siebie.

Staruszek widocznie obrażony za przerwaną kiedyś nagle rozmowę, udawał wybornie, że nie wie o niczem, że nie wdaje się w żadne sprawy, niemające ścisłego związku z pełnionemi przez niego obowiązkami. W trakcie tego jednak spojrzeniem i półsłówkami zaprzeczał sam sobie. Wiedział wszystko ale chciał aby go proszono o objaśnienie prawdy. Miałem z nim wiele kłopotu, ale nareszcie zdołałem go ułagodzić.

— Wiele ja głowy nałamałem, wiele mózgu napsułem, mówił staruszek, wiele nocy spędziłem bezsenie rozwiązując zagadkę w jaki sposób p. Busson pozna pana ze swoją córką Józefiną. Pan nie chciał nigdzie wychodzić, nawet do kościoła, trudność zatem była nielada. Przychodziły mi różne pomysły ale wszystkie były niezręczne w porównaniu ze środkiem użytym przez Bussona. Udać chorobę niebezpieczną, a później sprowadzić rodzinę, było arcydziełem w swoim rodzaju.

— Busson więc nie chorował wcale? zapytałem ze zgrozą.

— Toż nie ma żadnej wątpliwości, odpowiedział marszałek, w razie przeciwnym zbieg okoliczności byłby zwyczajny i postępowanie Bussona, nie miałoby żadnego piętna genialności.

— Pojmuję całą ważność oskarżenia, rzekłem, to też proszę mi powiedzieć czy ono opartem jest na domysłach, czy też na dowodach nieomylnych.

— Nigdy twierdzenia mego nie opieram na domysłach, odpowiedział Chippault, a chociaż takiego ptaka jak Busson niełatwo podejść, jednak zwiodłem jego baczność. Ściany mają uszy mówi on, i odpowiednio do tego postępuje, ale ściany mogą mieć także oczy, zamki, podwójne klucze, a grubo rozesłane sukno dozwala człowiekowi podchodzić bez najmniejszego szmeru. O tem wszystkiem zapomniał Busson, nie przypuszczając, aby przez kogokolwiek był tak starannie śledzonym. Od kąd jednak jestem marszałkiem, to jest od lat trzydziestu, miałem sobie za honor, aby wszystkie wypadki zaszłe w pałacu oddanym pod moją pieczę, były mi najdokładniej wiadome.

Chippault chcąc przelać we mnie zupełne przekonanie o swej prawdomówności, pokazał mi nawet otwory, zrobione w szafie wmurowanej w ścianę, posługujące mu aż nadto do śledzenia Bussona. Przywołany nawet jeden służący zaufany marszałka, potwierdził wszystko swojem świadectwem.

W obec podobnych dowodów, dalsze powątpiewanie było niepodobne.

Długie milczenie panowało w pokoju.

— Czy panna Józefina wiedziała o tem wszystkiem? zapytałem z pewnem wahaniem i mimowolnym rumieńcem na twarzy.

— Mogę zaręczyć, że nic nie wiedziała, odpowiedział marszałek głosem stanowczym. Do tajemnicy przypuszczoną tylko była jego małżonka. Skoro byli we dwoje, to Busson wstawał, chodził, jadł, pił jak człowiek najzdrowszy, gdy jednak którakolwiek z córek miała nadejść, to czemprędzej wracał do łóżka udając chorego. Panna Józefina więc działała z największą wiarą, jej boleść i niepokój były jak najzupełniej prawdziwe.

Po ukończonej rozmowie z marszałkiem, mimowoli porównywałem Eugenię z Józefiną zapytując sam siebie, której w danym razie oddałbym pierwszeń-

stwo. Pierwsza przybierała postać pięknej gwiazdy porannej, nazywanej jutrzenką, pełną nieokreślonego wdzięku i skromnego blasku.

Drugą przeciwnie wyobrażałem sobie w postaci słońca, olśniewającego wzrok największego nawet śmiałka.

W trakcie tych rozmyślań wbiegł nagle lokaj przynoszący list tylko co nadesłany. Było to pismo Józefiny, pochwyciłem go z gorączkową szybkością, wyczytawszy co następuje:

„Dzisiaj około ósmej wieczorem wyjadę do lasu Rosgny.“

Nie było żadnego podpisu, ale poznałem jej rękę.

Przeczytawszy bilecik w zamyśleniu usiadłem na kanapie.

Dziwne jest usposobienie serca człowieka. Przed godziną, co mówię, przed kwadransem milczenie Józefiny było źródłem mego udręczenia, a odebrawszy tak pocieszającą wiadomość, przyszła mi myśl niekorzystania z nastręczonej sposobności zobaczenia pięknej czarodziejki. Czułem nadzwyczajny wstręt dla Bussona, szpetny więc cień padał i na całą jego rodzinę.

Józefina jednak była niewinną a tem samem wyrządzając jej niezasłużoną zniewagę, popełniłbym największą niesprawiedliwość.

Trzeba ją koniecznie zobaczyć po raz ostatni, a ponieważ wedle zdania młodzieży kocha tylko miliony, wyprowadzić ją więc trzeba ze złudzenia, i przybrać postawę człowieka ubogiego. W takiem usposobieniu jechałem na umówione spotkanie.

Józefina przyjechała z dwiema młodszemi siostrami i guwernantką. Podałem jej rękę a zwolniwszy kroku byłem w dostatecznem oddaleniu aby mówić z całą swobodą. Wkrótce łzy błysnęły mi w oczach, spostrzegłszy jak niewinnie była obmawianą przez ludzi nieznających jej bliżej. Wyobrażenia jej były najszlachetniejsze.

Z odrazą mowiła o zbytniem zamiłowaniu jej ojca do pieniędzy, w ostatku dała mi swoją miniaturę na pamiątkę. Byłem oczarowany, ucałowałem jej rękę z zapałem przyciskając z uniesieniem do mego serca.

Wracałem do domu olśniony, zakochany więcej niż kiedykolwiek. Nigdy Józefina nie była tak piękną, smutek i rozrzewnienie nadały jej nowy wdzięk nadzwyczajnie wymowny dla mego serca.

W takim stanie zostawałem dość długo, gdy niespodzianie w mej myśli stanęła szlachetna a niemniej czarująca postać Eugenii. Gdyby twierdzenie Karola Pigrenier było prawdziwe, gdyby ona mnie kochała w takim razie uczyniłbym ją nieszczęśliwą, ją! co już tak wiele w życiu cierpiała.

Uczułem ściśnienie serca i ból dotkliwy nie dający mi wypoczynku.

Z przestrachem zapytywałem sam siebie, którąż kocham prawdziwie i nie umiałem na to odpowiedzieć?

Stan mój doprawdy był rozpaczliwy; z Józefiną byłem już po danem słowie, a względem Eugenii nie zaciągnęłem najmniejszego zobowiązania.

Chcąc odnowić wrażenia tak zachwycające mnie przed chwilą, wydobyłem szybko daną mi miniaturę i jednocześnie wyrzuciłem list nadesłany przez Brodzkiego. Spojrzawszy na niego baczniej, spostrzegłem że był wysłany z Londynu. Brodzki więc wrócił do Europy.

* * *

Początkowo pisywał często do mnie, robiąc sprawozdania z wycieczek, mających na celu odszukanie Władysława Jasieńskiego, lub też powzięcia niemylnej wiadomości o jego śmierci.

Prócz tego czynił rozmaite spostrzeżenia nad przebieganemi okolicami, opowiadając własne wypadki, pobudzając mnie nieraz do wesołego śmiechu.

Długi czas nie mógł udzielić żadnej wiadomości, dotyczącej mego brata ciotecznego, bo ten pogniewany z ojcem, nie wskazał nigdy nikomu w Ameryce właściwego sobie miejsca zamieszkania. Po długich jednak staraniach odkrył nareszcie osadę będącą jego własnością, ale tam również jak i w Ameryce nie wiedziano napewno o jego losie, bo Władysław Jasieński dostawiając żywność kopaczom złota zostawał prawie ciągle w podróży.

O ile jednak ostateczny jego pobyt był niewiadomym, o tyle znowu opowiadania dotyczące jego charakteru były nadzwyczajnie dokładne. Wszyscy bez wyjątku opisywali go jako wielkiego niegodziwca.

Brodzki zebrawszy takie wiadomości stracił ochotę do dalszych poszukiwań.

— Zostawmy Władysława Jasieńskiego jego losowi, pisał z zimną krwią. Może w tej chwili zostaje w ręku ludożerców starających się utuczyć go należycie, aby przysposobić sobie w przyszłości smaczną pieczeń. Nie psujmy im tej niewinnej rozrywki, bo twój zacny kuzynek nie zasłużył na nic lepszego.

Żart podobny trącił cynizmem, to też napisałem dosyć ostro do Brodzkiego, czyniąc mu jak najsprawiedliwsze wymówki. Przyjaciel mój dotknięty był tem do żywego, a skutkiem tego nastąpiła dosyć żywa wymiana zdań. Nic zabawniejszego jak sprzeczka o kilkatysięcy mil, prowadzona za pośrednictwem telegrafu.

Nareszcie rozgniewany Brodzki napisał do mnie: „Dobrze, odszukam Władysława Jasieńskiego, ale pożałujesz tego i to będzie jedyną moją zemstą.“

Od tego czasu upłynęło wiele miesięcy, a nie odebrałem od niego najmniejszej wiadomości.

Dopiero list nadesłany w dniu dzisiejszym zwiastował mi nowinę nieposlitej wagi. Brodzki odszukał Władysława Jasieńskiego, przybył z nim do Londynu, a po krótkiem wypoczynku bezzwłocznie przybędą do zamku Verriéres.

List wypadł mi z rąk, bo bądźcobądź najmniej jakoś myślałem o podobnych odwiedzinach. Przyszły mój los stanął na porządku dziennym, a tem samem wszelkie inne kwestye nabrały podrzędniejszego znaczenia. Nie zawahałem się jednak ani na chwilę w zamiarze oddania całego majątku memu kuzynowi.

W tym celu napisałem list do Bussona, prosząc go aby zechciał przybyć w dniu następnym do pałacu, celem złożenia rachunków rzeczywistemu właścicielowi majątku.

Nazajutrz odebrałem depeszę telegraficzną wzywającą mnie o przesłanie powozu i osobiste przybycie na dworzec kolei żelaznej o godzinie drugiej po południu, celem powitania nadjeżdżającego kuzynka.

Uczyniłem zadosyć wezwaniu. Na stacyi kolei spotkałem niespodzianie Mercier'a. Przybył po zioła zamówione z Paryża do wyrobienia likieru używanego przez sułtana i całą arystokracyą turecką.

Zawiadomiony przezemnie o przyjeździe Władysława Jasieńskiego, krzyknął z całą szczerością:

— A, co za nieszczęście, byłby sto razy lepiej zrobił gdyby się był utopił.

Stał w zamyśleniu czas jakiś, a później rzekł:

— Dobrze żeś mnie ostrzegł, bo nie chcę mu włazić w oczy. Gdyby powziął wiadomość o zmianie mego nazwiska, to gotów oskarżyć mnie do policyi jako największego zbrodniarza.

Niezadługo świst lokomotywy dał znać o przybywającym pociągu. Patrzyłem uważnie na wysiadających podróżnych w nadziei poznania mego kuzyna. Towarzyszył mu Brodzki, a tem samem pomyłka była niepodobną.

W liczbie przybyłych nie dostrzegłem nigdzie mego kolegi szkolnego.

Wątpliwość jednak była krótką, bo usłyszawszy jakiś głos chrapliwy, krzyczący donośnie:

— Czy tu jest kto z zamku Verriéres? dałem rozkaz aby na mnie czekano. Gdzie jest powóz? gdzie jest służba? gdzie Stanisław Górecki?

Patrząc na osobę, krzyczącą w sposób tak dziwaczny, nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Słowa były jeszcze niczem w obec samej postaci. Nieznajomy, a raczej wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mój kuzynek, miał twarz całą pokrytą zarostem na podobieństwo leśnego człowieka. Ogromna peruka spadała mu na czoło aż do samych brwi, przyozdabiając z drugiej strony ramiona gęstemi splotami loków. Zielone okulary osłaniały oczy. Wypada jeszcze wspomnieć o ogromnym garbie na prawej łopatce, o utykaniu na lewą nogę, a obraz będzie zupełny.

Podszedłem ku niemu, wymawiając moje imię i nazwisko.

— To dobrze, to dobrze mówił trzęsąc głową, a rachunki czy zostały przygotowane, bo to rzecz najważniejsza?

— Jakie rachunki? zapytałem z największem zadziwieniem, nie rozumiejąc celu podobnego zapytania.

— Czy żartujesz, rzekł z urąganiem Jasieński, czy po moim ojcu nie zostało kilka milionów majątku? Dla czego kapitał w całości nie został złożony w banku? Kupowanie dóbr było wcale niepotrzebne.

— Takie było życzenie pańskiego ojca, odpowiedziałem niecierpliwie.

— Konającym obiecujemy zawsze uszanować ich wolę, odpowiedział mój kochany kuzynek ze śmiechem szyderczym, ale po ich śmierci robimy odpowiednio do naszego upodobania.

Uważałem za niewłaściwe przedłużanie rozmowy na dziedzińcu dworca kolei żelaznej, odwróciwszy się więc szybko wsiadłem do powozu.

W czasie podróży do zamku Verriéres, Władysław czas jakiś był milczący a później rzekł:

— Niepotrzebnieś mi nasyłał do Australii jakiegoś darmozjada Brodzkiego. Podróż jego spowodowała niezawodnie mnóstwo wydatków, ale takowych nie przyjmę do rachunku, uprzedzam o tem z góry. Trzeba zawsze różnego rodzaju złudzenia niweczyć zawczasu, bo tym sposobem rozczarowanie jest mniej dotkliwem.

Nie odpowiedziałem ani słówka, nie chcąc na wstępie wywoływać kłótni bez koniecznej potrzeby. Zapytałem o Brodzkiego, bo jego nieobecność dziwiła mnie bardzo.

— Ten łotr niegodziwy nazwał mnie orangutangiem, odpowiedział, chciałem więc go obić kijem, aby okazać rzeczywistą siłę człowieka leśnego. Jeżeli jednak jestem podobny do małpy, to on do zająca, bo uciekł szybko i nie zdołałem go dogonić. Przedtem jednak dał mi list do pana, celem poświadczenia tożsamości mej osoby.

Oto co pisał Brodzki:

„Kochany Stanisławie!

Oddawcą niniejszego listu jest twój najukochańszy kuzynek pan Władysław Jasieński. Najwłaściwsze dla niego miejsce byłoby w żołądku Malajczyka lub jakiego potworu morskiego, co ostatecznie wychodzi na jedno. Skoro go poznasz, to w zapatrywaniu naszem nie będzie najmniejszej różnicy. Zostaję w Paryżu, chcąc o ile możności najprędzej

uniknąć tak przykrego towarzystwa. Mieszkam przy ulicy Rivoli pod numerem czwartym. Oczekuję na twoje przybycie. Trzeba nam zastanowić się nad dalszem postępowaniem. Niegodziwy ten człowiek gotów cię obedrzyć ze wszystkiego, bo na jego szlachetność nie można wcale rachować."

Odczytawszy list schowałem go do kieszeni, mając zamiar uczynić zadosyć życzeniu Brodzkiego, i wyjechać spiesznie do Paryża.

Przyjechawszy do pałacu zastaliśmy już Bussona oczekującego na nowego właściciela. Dokładał on wszelkich możliwych starań, aby zaraz na wstępie pozyskać jego przychylność. Na mnie nie zwracał prawie żadnej uwagi; pozbawiony miljonów byłem dla niego bez znaczenia.

— Chciałbym coś dla pana zrobić, rzekł do mnie niespodzianie Jasieński, choćby przez wzgląd na języki ludzkie. Kawałek ziemi rodzajnej i kawałek lasu mogą być podstawą kolonii dającej przy pracy aż nadto dostateczne utrzymanie. Zabudujesz ją jednak własnemi środkami, bo i tak dając ziemię za darmo, czynię sobie nader nieprzyjemny uszczerbek.

Odezwanie to zrobione w obecności Bussona było tem przykrzejsze. Odpowiedziałem więc z dumą i nietajoną pogardą:

— Darowiznę mógłbym tylko przyjąć od krewnych zaszczycanych moim szacunkiem, a ponieważ przy pierwszem poznaniu wywołałeś wprost odmienne uczucie, tem samem uważam nasze stosunki zerwane raz na zawsze.

Nie skłoniwszy nawet głową wyszedłem do mego pokoju, czynić przygotowania do podróży.

(d. c. n.)

POGADANKA.

Nareszcie!... po przejściu dni trzech świętych zawsze zimnych i deszczowych, jednocześnie z Zielonemi Świętami rozpoczęły się na prawdę wycieczki majowe.

W dnie świąteczne droga do Czerniakowa, roi się tłumami Warszawiaków, z koszami i węzełkami, z dziatwą drobną i dojrzewającą, z młodzieżą weselącą się i umizgającą, aby zadosyć uczynić prastaremu zwyczajowi pobożności i nacieszyć rozkwitem wiosny zdala od gwaru i zaduchu miejskiego. Śmiech brzmi tu wszędzie, harmonijki dudlą, żebracy zawodzą pieśni, pielgrzymi sypią jałmużnę, w kościółku i jego otoczeniu modlą się, obchodzą kramy a potem w ogródku rozsiadłszy się na ławkach i murawie, raczą się przyniesionemi zapasami, patrząc na huśtawki i karuzele. Tak bawi się lud Warszawski w Czerniakowie i Bielanach, zamożniejsi spieszą do Zacisza, Marcelina, Wierzbna i Willanowa, zjadając i wypijając największe zapasy jakie dla ich ugoszczenia przygotowano.

Mimo tego w święta w Warszawie wszędzie rojno, w kościołach w ogrodach, w parku pragskim, w ogródkach śpiwnych, w dolinie szwajcarskiej, z powrotem do omnibusów trzeba się dostawać przemocą a do dorożek prośbą lub groźbą, kto lubi tego rodzaju swary i zatargi.

Wiadomość też o odbytej licytacyi na budowę tramwajów i utrzymaniu się przy niej jakiegoś towarzystwa belgijskiego, Warszawa powitała z wielkiem zadowoleniem, ciesząc się że przecieć kiedyś dojdzie do wygody tak wielce pożądanej. Kanalizacya zato utonęła, prasa pilnie nią się zajmująca umilkła.

Zajął ją dość energicznie zakład pana M., iż podróż ośmnasto milową do Szydłowca na jednym wierzchowcu odbędzie w przeciągu tyluż godzin. Że jeździec przyjął go nic dziwnego, ale że znalazł się wątpiący i chętny do grubego podobno zakładu, to temu rzeczywiście dość się nadziwić nie można. Nie wierząc w tak naiwną osobistość, przypuszczać należy żart przy dobrem śniadaniu ułożony, na złapanie reporterów ścigających się na łeb na szyję za nowinkami i wiadomostkami.

Figiel wybornie się udał reporterzy zakład roztrąbili, później zajęli się jego szczegółami, jak koń winem pojony upił się, jak się trzeźwił wyziewami wilgoci, jak wre szcie wytrwałością pobił foldblutów angielskich dotąd uznawanych za niepokonanych. Nikomu zaś nie przyszło do myśli zastanowić się, że kiedy człowiek idący pieszo, bez wysiłku przejdzie milę w ciągu sześciu kwadransy, to koń biegnący lekkim truchtem bez zmęczenia spełni to w połowie tego czasu, na osiemnastu zatem godzinach na odpoczynek pozostaje cztery i pół, co dozwala już nie arabczykowi ale zwyczajnemu polskiemu podjezdkowi przestrzeń tę przebyć w oznaczonym czasie bez zbytniego zmęczenia. O cóż więc tu było się zakładać, zabierać z sobą weterynarza, gutaperkowe podkładki pod podkowy i paść konia chlebem nie owsem a poić winem nie wodą?

Pan M. jako jeździec wybornie się wywiązawszy z zadania jakże śmiać się teraz musi z reporterów których jak młodych wróbli złapał na plewy. Żarcik przewyborny!

Podobnym żarcikiem uczęstowała nas Dyrekcya teatrów przedstawieniem, nowej tłomaczonej sztuczki p. t. Brylant nieoszlifowany. Miał on przed dwoma latami wielkie w Krakowie powodzenie... na afiszu jako pierwszorzędne partactwo. Po jednem przedstawieniu sztuczka upadła i już się nie podniosła... u nas podratowana biedaczka wystąpiła znowu publicznie i... od prasy dostała dobrze po czubie.

Gościnność ta dla niezdarnych obcych wyrobów rozczulająca, szkoda że nie jest stosowaną do prac oryginalnych tak chętnie rozchwytywanych przez sceny prowincyonalne.

Ale i to przyjdźie kiedyś. Delegacya wyznaczona do podniesienia sceny naszej czynność swą ukończyła i wnioski przedstawiła władzy wyższej. Że praca jej nie będzie bezowocną, to nie ulega wątpliwości, czekajmy więc cierpliwie dalszego rozwoju ukończonej czynności.

O pani Modrzejewskiej ciągle nas dochodzą bardzo miłe wieści. Obecnie występuje w Londynie w teatrze Court porywając publiczność i wywołując oklaski do burzy podobne. Poruszenie zimnych anglików i wyrwanie ich ze sztywnej powagi godne naznaczenia. O innych artystkach i artystach, z równem zadowoleniem przyjmowanych na scenach miast większych Europy, nie wspominamy, warto jednak naznaczyć że w Rzeczypospolitej argentyńskiej w Buenos Ayres w której zamieszkuje dosyć naszych rodaków, w dniu czwartym kwietnia b. r. grano teatr amatorski po polsku, na którym przedstawiano komedyą Bałuckiego p. t. Marcowy kawaler, i Zaleskiego p. t. Spudłowali.

Schodząc do coraz poważniejszych wiadomości, jest w nich parę na szczególną zasługujących uwagę.

Jeszcze w Marcu b. r. Akademia umiejętności w Krakowie ogłosiła odezwę iż d. 19 maja r. b. odbędzie się uroczyste przeniesienie popiołów *Jana Długosza* z urny w krypcie Ś. Stanisława na Skałce, do sarkofagu wzniesionego tamże kosztem funduszu krajowego, za staraniem p. Józefa Łepkowskiego, konserwatora zabytków archeologicznych. Jest to czterechset letnia rocznica śmierci sławnego naszego historyka, który całe życie swoje poświęcił pracy nad dziejami ojczystemi i zostawił potomności tak bogatą spuściznę wiedzy historycznej. Kościół uświęci jubileusz ten uroczystem nabożeństwem w prastarej wawelskiej świątyni, a posiedzenie Akademii odbyło się w przeddzień uroczystości kościelnej, d. 18 b. m. na którem jeden z jej członków odczytał: „Rzecz o Długoszu na tle ówczesnego dziejopisarstwa europejskiego."

Kraków staje się coraz bogatszą skarbnicą najdroższych dziejowych pamiątek. Obok bogatego Gabinetu archeologicznego, którego okazy znawcy tak wysoko cenią, posiada jeszcze w swych murach piękne Muzeum książąt Czartoryskich, a w wspaniale odnowionych Sukiennicach księżna Zuzanna, z domu księżniczka Nemours, zamierza urządzić wystawę pamiątek historycznych z XVII-go stulecia. Profesor Gadomski wykończa pomnik dla nieodżałowanego a tak młodo zmarłego artysty Artura Grotgera. Pomnik ten stanie w kościele Dominikanów we Lwowie, pierwej jednak zostanie wystawiony w Salach Krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych. Pomnik przedstawia geniusza w postaci kobiety otaczającej święcem laurowym medalion Grotgera, umieszczony na ściętym słupie. U stóp geniuszu stoi urna, na której przedstawiona jest w płaskorzeźbie jedna gruppa ze sławnych rysunków Grotgera; z jednej strony na urnę tę zarzucony jest całun, obok widać poletę malarską, ciernie i róże przeplatające zazwyczaj życie artysty. Cały pomnik wykonany jest z białego karraryjskiego marmuru, zaś słup z szarego, przez co bardzo wydatnie odbija medalion i postać geniuszu. Chwalą powszechnie czysty rysunek tej postaci i klasyczny spokój duszy, okrągłe podniesienie rąk wieńczących medalion, odpowiednie pochylenie ciała, miękkość i lekkość draperyi oraz doskonałe podobieństwo twarzy artysty. I pomysł i wykonanie pomnika tego jest prawdziwie artystyczne.

I u nas w Warszawie myślą o uczczeniu trzechsetnej rocznicy śmierci wielkiego naszego poety Jana Kochanowskiego, przypadającej w r. 1884, przez wydanie wszystkich dzieł jego. Urzeczywistnieniu tego zamiaru stoi dotąd na zawadzie brak odpowiedniego na nakład funduszu; aby przeszkodę tę usunąć, powzięto myśl bardzo szczęśliwą, aby urządzić w salach redutowych widowisko sceniczne, składające się z trzech utworów dramatycznych dawnych naszych pisarzów, a mianowicie: z „Żywota Józefa" Reja; z „Odprawy posłów greckich" Jana Kochanowskiego, i z komedyi Piotra Baryki p. t. „Z chłopa król." Jeźli przyjdzie do wykonania, urządzonoby salę w pół kole na wzór starożytnych teatrów; chóry, orkiestra, wszystko byłoby odtworzone na wzór grecki, a w „Odprawie posłów" grający przywdzieliby odpowiedni strój. Utwory te byłyby, odegrane przez utalentowanych amatorów i amatorki.

Tragedya Kochanowskiego napisana jest w pokroju starożytnym, brak w niej wprawdzie węzła dramatycznego, ale odznacza się piękną formą wiersza tak zawsze świeżą iż możnaby sądzić że jest zupełnie nowoczesnym utworem.

„Żywot Józefa" Reja, nie jest to czysto utwór dramatyczny, ale raczej opowiadanie biblijne przedstawione w rozmowie. Zdaje się że nigdy nie było przedstawione, warto jednak dać w ten sposób poznać publiczności, jeden z najpierwszych w tym rodzaju utworów naszych.

Komedya Piotra Baryki „Z chłopa król" napisana jest w roku 1636, gładkim i dobrym wierszem. Oto krótka jej treść. W przystępie dobrego humoru, pan rotmistrz chcąc sobie zażartować z sołtysa,

kazał go upoić a następnie ubrać w bogate szaty królewskie, a odurzonego swoją wielkością znowu oblec w ubogie suknie. Jest to doskonały obrazek obyczajowy ówczesnej epoki, pełen humoru i trafnych rysów charakterystycznych i przysłów dobrze zastosowanych, napisany pięknym językiem.

Mówią że podobno jeszcze w roku b. zamyślają urzeczywistnić ten zamiar. Wszystko zdaje się przedstawieniu takiemu świetne zapewniać powodzenie, tak ze względu na cel jego, jakoteż nowość i trafność pomysłu.

Dzienniki donoszą z Węgier że ulubiony i niestrudzony pisarz węgierski Maurycy Jokai, wystąpił z wnioskiem mogącym oddziałać nader zbawiennie pod względem podniesienia coraz więcej upadającej węgierskiej powieści i romansu. Zwoławszy posiedzenie literatów przedstawił iż gałęź ta piśmiennictwa od lat czterdziestu coraz widoczniej upada, podając za główny powód wzrastającą ciągle ilość nieraz bardzo nieudatnych a często i źle tłomaczonych francuzkich powieści. Aby temu zapobiedz proponuje zawiązanie taniego wydawnictwa dobrych oryginalnych powieści, pod kierunkiem wyznaczonego kompetentnego komitetu. Połowa *czystego dochodu* z wydawnictwa obracaną byłaby na wynagradzanie autorów, druga na powiększenie funduszu emerytalnego literacko-artystycznego. Wybrano zaraz komitet złożony z najznakomitszych literatów i publicystów dla wypracowania odpowiedniej ustawy, aby, zgodnie z życzeniem Jokai'ego, już w nadchodzącej jesieni można rozpocząć zamierzone wydawnictwo, a że pomysł ulubionego pisarza gorące w całych Węgrzech znalazł uznanie, można mu więc świetną rokować przyszłość.

Jakkolwiek zazdrość jest grzechem, przyznajemy się jednak do niej, ilekroć czytamy jak wiele zagranicą małemi dokonywa się środkami. Każdy pożyteczny pomysł zaledwie ogłoszony, znajdzie niezwłocznie uznanie i poparcie. Dzięki projektowi Jokai'ego ileż to pojawi się prawdziwych talentów; ile nieznanych zdolności wyrobi się i odznaczy w dziedzinie węgierskiego piśmiennictwa. Zapewnie że wielkie geniusze, same właściwą sobie siłą potrafią zwalczyć największe trudności i wybić się na wierzch, ale takich w każdym narodzie bardzo mało.

Mówiąc już o projektach nie możemy pominąć ogłoszonego w dzienniku ministerstwa Dróg i komunikacyi, traktującego *o obowiązkowem ubezpieczaniu* się pasażerów jeżdżących kolejami żelaznemi Według tego projektu, każdy jadący, bez różnicy odległości, dopłacałby *obowiązkową* składkę asekuracyjną od biletu klassy I-ej k. 20, II-giej k. 10, a III-ej 5 k. Za to za każdego *zabitego* wypłacanoby 1000 rs., za *umarłego* 850 rs.

W projekcie obliczony jest przychód jaki przyniosłaby składka za rok 1877. Licząc razem w cesarstwie i królewstwie, podróżni wszystkich trzech klass zapłaciliby 1,628,187 rs., że zaś w tym roku straciło życie 16 pasażerów, a rany odniosło 111, zatém według projektowanej stopy, zapłaconoby wynagrodzenia 110,350 rs. to jest mniej niż 10 % ogólnej summy składek.

W ostatnich czasach zawiązało się w Paryżu „Towarzystwo pomocy publicznej“ każdy wnoszący do kassy towarzystwa 75 franków, w razie śmierci z powodu wypadku na kolei żelaznej, ma zapewnioną summę 25,000, którą odbiorą albo spadkobiercy albo legateryusze jego. Nawet osoby zmuszone kilka razy na dzień jeździć koleją, nie wnoszą większej opłaty. Takie zabezpieczenie pojmujemy.

Z faktów miejscowych najważniejszym jest otwarcie uroczyste Wystawy tkackiej w d 6 b. m. w obec Generał Gubernatora hr. Kotzebue, przedstawicieli władz, prassy i zaproszonych osób. W czternastu salonach pałacu Brülowskiego rozmieszczono okazy wystawców. Katalog podaje nazwiska stu kilkunastu wystawców których wyroby pochlebnie świadczą o naszym przemyśle. Później podamy obszerniejsze sprawozdanie.

Przegląd literatury zagranicznej.

L'esprit des Betes (Rozum zwierząt).

napisal Toussenel.

Do liczby nowych reformatorow, którzy pojawili się w stolicy Francyi w drugiej połowie XIX wieku należy zaliczyć Toussenel'a; dzieło jego l'Esprit des Betes jest wesołą drobną komedyjką, zasługującą na pobieżne chociaż sprawozdanie.

Zaraz na wstępie napotykamy określenie znanego ptaka białozora (rodzaj sokoła), będącego skrzydlatym prorokiem nowej religii. Ze wszystkich istot żyjących, powiada autor, białozór pierwszy zrozumiał że szczęście jednostek jest w stosunku prostym do powagi nadanej rodzajowi żeńskiemu. Szlachetny ten ptak dając jednocześnie prawidło i przykład, zostawił berło władzy w dłoniach a raczej szponach swej samicy skutkiem tego zaliczonym jest do ptaków wyższego rzędu. Rodzaj ludzki oswobodzony zostanie z właściwej sobie nędzy, skoro naśladując przykład prawodawców powietrznych, urządzi na tej samej podstawie stosunki polityczne i towarzyskie.

Wówczas prawo przemocy zastąpione będzie przez miłość; władza żandarma i policjanta zniknie raz na zawsze przed strzałą kupidyna, i ludzkość będzie zbawiona.

Prosimy nie posądzać nas o jakąś chętkę żartobliwości. Określenie powyższe jest wiernym wyciągiem ze wzmiankowanej książki. Jest ona niby wykładem historyi naturalnej, ale zarazem obejmuje naukę moralności dla ludzi. Wzór dany jest z życia ptaków: wedle autora są one najdoskonalszemi istotami używającemi wszelkich rozkoszy umysłu serca i zmysłów, zdobyły zupełną zgodność wszelkich sił żywotnych; człowiek może spoglądać na nie z pewną zazdrością, ich życie rozkoszne, jest prawdziwem urąganiem z naszej niedoli i ustawicznych smutków. Autor przeto należy do szkoły furjerystów, w sposób jednak nader oryginalny, zabrał się do propagandy wyznawanych przez siebie zasad, Nauka o ptakach jest tylko pokrywką zamierzonej reformy społecznej. W tej mierze, powiada autor, może się tylko mylić. stary, łysy lub żandarm, trzy nazwy do których Toussenel przywiązuje znaczenie największej niechęci.

Nie zbywa mu jednak na zręczności; zamierzywszy być czytanym przez piękną połowę rodu ludzkiego, szacowny ten przywilej zdobywa szturmem, odrzucając wszelkie wywody naukowe, a oddziałując na wyobraźnię za pośrednictwem stylu żywego i obrazów pełnych rozmaitości.

Można się śmiać czytając książkę Toussenela, ale się nie ziewa nigdy, z tej przyczyny prawdopodobnie znalazła ona wielkie powodzenie. Niepodobna utrzymać powagi skoro napotykamy naprzykład takie zdanie: „wróble nie są wcale pedantami i dają nam przykład wesołości i dowcipu.“

Dla wykazania jak wielkiem jest znaczenie rodzaju żeńskiego, Toussenel obok powagi białozora, przywołuje jeszcze na pomoc Tacyta, który udowodnił wielką przewagę kobiet w pośród plemion germańskich. Okoliczność tą tłomaczy przyczynę, dla której ludność barbarzyńska na pozór potrafiła zniweczyć Zachodnie cesarstwo rzymskie. W podobny sposób objaśniane są inne zagadki historyczno-polityczne. Rzeczpospolita francuzka z końca XVIII wieku upadła, ponieważ zgromadzenie narodowe ogłaszając równość mężczyzn w obec prawa, zapomniało o równouprawnieniu kobiet.

Rzeczpospolita z r. 1848 żyła niedłużej *od róży kwitnącej*, jak wyraża się poetycznie autor, ponieważ nie potrafiła zniweczyć niesprawiedliwości popełnionej przez swych poprzedników. Nie starcy przewrotni, powiada autor, ale kochankowie powinni zasiadać w czasie obrad politycznych; w takim razie rzeczpospolita stałaby się rzeczywistością, a wkrótce zostałaby rzeczpospolitą idealną rządzoną przez kobiety.

Oprócz wymienionych, rzeczpospolite popełniły jeszcze inne błędy: jedna powołując ministrów zanadto starych, druga straszliwie brzydkich.

Toussenel patrząc na kraj rządzony przez prawdziwe głowy Meduzy zakrywa sobie oczy, aby uniknąć tyle przykrego widoku. Naród stawiający na czele swoim ludzi brzydkich, powiada, stracił poczucie piękna fizycznego, a tem samem i zbratanego z nim piękna moralnego. Jedną z ważnych przyczyn upadku Rzymu była brzydota mężczyzn.

Dlatego potrzeba dla dobra rodu ludzkiego abyśmy zostali prawdziwymi białozorami, składając berło władzy w ręce kobiet. Izba obejmująca same przedstawicielki rodu ludzkiego, jak twierdzi autor, będzie we Francyi epoką odrodzenia sztuk i nauki, obdarzając ludność nieprzerwanem weselem, zwiastunem panującej miłości, pod wpływem której zadrżą z radości wszystkie ciała niebieskie. Zaiste trudno znaleźć autora równie uprzejmego dla kobiet jak p. Toussenel. Prawo salickie wzbraniające kobietom zasiadać na tronie Francyi, znalazło w nim zajadłego przeciwnika.

Przewaga niektórych narodów wytworzoną była przez wielkie monarchinie jak naprzykład Elzbieta, nasza Jadwiga i inne. Anglicy tak dalece przekonani są o wyższości kobiet, że starają się być do nich podobnemi nawet z powierzchowności, goląc starannie brodę i wąsy.

Toussenel jest wielkim nieprzyjacielem uniwersytetu i dotychczasowego systemu edukacyjnego. Mężczyźni starzy, zazwyczaj łysi, po większej części brzydcy, czyż mogli wymyślić coś dobrego. Zamykać dziecko w pośród czterech ścian, zmuszać do nauki łaciny, jest wedle niego, barbarzyństwem a nawet podłością.

Początek reformy w tej mierze zależy na przyznaniu kobietom wyłącznego prawa nauczania; one jedne tylko mogą zapewnić właściwy rozwój moralny przyszłego pokolenia.

Toussenel gotów jest nawet rozpocząć nauki po raz drugi jeżeliby tylko katedry uniwersytetów, posady rektorów akademii, ministra oświecenia obsadzone były przez kobiety W zastosowaniu swego systemu nie cofa się przed wszelkiemi następstwami i nie tai wstrętu do języka łacińskiego, ponieważ w jego gramatyce rodzaj żeński zajmuje niższe miejsce od męzkiego. W tem znaczeniu usiłuje koniecznie przeprowadzić reformę w języku francuzkim i w zastosowaniu jego metody do języka polskiego, wypadałoby pisać: pałasz i pochwa są siostrami a nie braćmi; *kobiety i mężczyźni poszły do ogrodu* a nie poszli jak mówić się powinno i t. p. Autor wyraża się z największą wzgardą o ludziach niepodzielających jego zapatrywania.

Twierdzenie swe uważa jako pewnik niemal matematyczny, a naciąganem rozumowaniem odpiera wszelką wątpliwość. Miłość jest najwyższem dobrem na ziemi, w ręce zatem kobiety jako piękniejszej od mężczyzny złożonem być powinno berło władzy.

Zaiste dzieło podobne napisane przez pisarza wy-

kształconego i z prawdziwym talentem, byłoby zjawiskiem niezrozumiałem, gdyby nie właściwa umysłowi człowieka wada, wpadania w ostateczności.

Po długiem poniżaniu rodzaju żeńskiego następuje jego uwielbienie. Każda cnota, wedle dawnego określenia, stoi w pośród dwóch występków, z których jeden stanowi niedostatek tej cnoty a drugi jej przesadę. Grzeszyliśmy kiedyś lekceważeniem kobiety, grzeszymy obecnie zbytnią czcią, co ostatecznie jest zapowiedzią w niedalekiej może przyszłości zupełnego równouprawnienia dwóch płci, w znaczeniu moralnem dopełniających się wzajem.

Przegląd literacki.

Poezye Izy. Warszawa i Lwów 1880 r.

Przeczytawszy z uwagą i możliwą cierpliwością książkę powyższym tytułem oznaczoną mimowolnie nasunęło się nam pytanie, dlaczego u nas tak łatwo o rymowane wiersze, a tak trudno o prawdziwą poezyą? Nie możemy sobie inaczej odpowiedzieć, jak owym tak naturalnym w młodości popędem do wyrażenia w najłatwiejszej na pozór formie budzących się uczuć i świeżych wrażeń, jakich w zaraniu życia doznajemy.

Posłyszawszy coś o rymie i jednakiej liczbie zgłosek odpowiednich wierszy a najczęściej na wzór najpospolitszej piosenki, układamy sobie wiersze, rozkoszujemy się samym ich dźwiękiem, budząc podziw rówieśników tak samo, jak my nastrojonych.

Młodość, to poezya, nic więc dziwnego, że składający lub składające zgrabne wierszyki otrzymują od najbliższych miano poetów... naturalnie w kółku rodziny i znajomych.

Wiek, doświadczenie, troski życiowe, a szczególniej też porządna nauka, rozszerzająca i rozjaśniająca krąg naszych poglądów, wytrącają nam poetyczne pióro z ręki, usuwają na stronę wierszowane zabawki, skazują na zapomnienie, wywołując później na usta nasze uśmiech politowania, a może i żalu za minioną tak naiwną przeszłością.

Jest to historya niejednego z nas, nie wszystkich wszakże, gdyż są jeszcze dwie kategorye ludzi: rzeczywistych poetów, którzy wybierają sobie formę odpowiednią do swoich zdolności, i... upartych *maruderów*. Przepraszamy czytelnika za ten obcy wyraz; ale na razie nie nasunęła się nam pod pióro inna nazwa na oznaczenie całej tej falangi samozwańczych synów Apolina, którzy pomimo tego, iż cały świat im powtarza, iż nie mają siły twórczej, iż nauką i wprawą nie zdobędą sobie zdolności poetycznych, jakiemi Bóg na ich szczęście cy nieszczęście obdarza swoich wybrańców... wciąż, przy najmniejszej sposobności grzeszą rymami.

Wszelkie przedstawienia na nic tu się nie zdały, gdyż omanieni łudzącemi pozorami sami w siebie wmawiają że oni właśnie są temi wybrańcami, że tylko świat (t. j. czytelnicy i słuchacze) na nich się nie poznał, nie zrozumiał ich, a na dowód tego przytaczają imiona wielkich poetów, których współcześni lekceważyli a potomność otoczyła czcią i uwielbieniem.

To nam też tłomaczy w naszej literaturze peryodycznej ową powódź przeróżnych wierszy, które nie są złe, owszem, gładkie, poprawne, mile brzmiące, ale w nich nie ma nic nowego, nie ma niczego takiego, czegoby silniej i lepiej wielcy nasi poeci dawno już nie wypowiedzieli.

Maruderzy wiedzą o tem dobrze; sami przyznają w pokorze, iż nie myślą równać się z Adamem albo Juliuszem... niemniej wszakże rymy składają, usprawiedliwiając się naiwnie tem iż utwory ich za to sto razy są lepsze od utworów pp. A. B. C.

Zostawmy więc ich w pokoju, zwłaszcza, że wielu z nich zaciągnęło się pod właściwe sztandary i dziś z odznaczeniem występuje w szrankach prozy naukowej lub dziennikarskiej.

Z tego cośmy powiedzieli, łatwo się czytelnik domyśli, iż rozbiór krytyczny poezyi p. Izy uważamy za zbyteczny. Gdyby jednak koniecznie ktoś domagał się od nas kategorycznej odpowiedzi, czy te wiersze mają jakąś wartość, i czy autorka ich posiada talent poetyczny, zmuszeni bylibyśmy nie znając warunków towarzyszących kreacyom p. Izy, na wymijającym poprzestać ogólniku.

Jeśli to są wspomnienia doznanych wrażeń w życiu, lub reminisencye po przeczytaniu ulubionego poety, lub wreszcie od niechcenia rzucone wyrazy w chwilach samotnej zadumy, kiedy się dusza rwie do lepszego świata, do świata ideałów, które najprozaiczniejszy człowiek bezwiednie żywi w swojej piersi; to czołem bijemy przed jej zacnemi uczuciami, i winszujemy jej że tak pięknie używa czasu. Jeśli zaś wydana książka jest próbą, niby pierwszym polotem w świat artyzmu i poezyi, to powiemy otwarcie, że ta próba nie wypadła świetnie. Obok miejsc oddanych z pewną swobodą i wdziękiem natrafiamy na ustępy, będące jedynie sztucznie powiązanemi frazesami, których właściwego znaczenia trudno się domyśléć, obok wersyfikacyi wytwornej, zapowiadającej pewność siebie i wprawę, spotykamy się z rymami których dziś używać już się nie godzi; wreszcie pomysłowa twórczość w kilku gatunkach poezyi, obok rażącego naśladownictwa, nie uwydatniła się tu dostatecznie, w przekładach zaś słowom autorów brak tej obrazowości, tej plastyki, które są koniecznym warunkiem każdego utworu poetycznego. Użyte przenośnie są tak nienaturalne, iż stają się śmiesznie. Język poetyczny autora pozostawia więc wiele do życzenia. Wezbrane uczucia spływające w łatwym, ale pospolitym wierszu, nigdy nie zastąpią twórczej wyobraźni która i myśli i uczucia kształtuje w obrazy, często grzeszące może pod względem rysunku albo kolorytu; ale zawsze pociągające urokiem świeżości i prawdy.

Autorka pisząc i wydając swoje utwory nie miała widocznie nikogo przy sobie, coby jej udzielił zdrowej i umiejętnej rady, czego dowodem są usterki logiczne i gramatyczne. *Licentia* nawet *poetica* nie może sobie pozwolić aby „nurty spienione *wołały* na cię *w szumy* stłumione“ (str. 1), albo żeby *powieść ciekła* (tamże), albo żeby nędza *biegła się tulić w progu* (str. 5), to na samym początku książki, a teraz otwórzmy ją na chybił trafił, ot, na stronnicy 172 znajdujemy:

Była chata pochylona,
Blada słońcem (?), deszczem zbita...

A niżej:

Puste okno ciszy słucha (!)
Sieć pajęcza drży w niem *lśniąca.* (?)

A teraz zapytujemy autorki, co znaczy wyraz *nito*, którego bardzo często używa, i zkąd jej predylekcya do przymiotnika biały-a-e, który kładzie nawet tam, gdzie przedmiot białym być nie może i nie powinien?

J. P.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 6 Мая 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 21 r. 1880.

Pieniądz to szczęście, pieniądz to potęga.

przez panią THURET,

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Młoda księżna de Miranda umiała od razu stanąć na wysokości nowego swego stanowiska; doskonały takt i powaga cechowały całe jej postępowanie. Otoczyła męża najgłębszą troskliwością, względami i szacunkiem, a czyniła to z taką godnością iż te starania i zabiegi nie ublizały jej ale prawdziwy przynosiły zaszczyt.

Świat widząc jakiem poszanowaniem piękna księżna otacza męża, nie śmiał widzieć śmiesznej niestosowności jaką przedstawiał związek tak majestatycznej piękności z tym starym upośledzonym od natury garbuskiem—tego też tylko pragnęła Izabella, gdyż postępowanie jej nie było bynajmniej wynikiem jakby synowskiego przywiązania, szacunku, lub nawet wdzięczności. Nie — ona tylko chciała aby wszyscy szanowali człowieka którego nosi nazwisko, a to dla tego jedynie aby blask padający od niego i ją opromieniał.

Stanąwszy raz na tak wysokiem stanowisku iż zwracała na siebie uwagę, starała się o to tylko aby zjednać sobie pochwały i uwielbienie świata, dokazała tego wybornie odgrywając komedyę i doszła do tego że nawet liczne wrodzone jej wady, uchodziły za przymioty. Jej skrytość brano za panowanie nad sobą, samolubstwo za przezorność, oziębłość za powagę, bezmierną pychę za wzgląd na godność własną, a nareszcie martwotę duszy i brak serca za spokój i rozum—co wszystko połączone poczytywano za uosobioną doskonałość.

Wiedząc że ogólnie podziwiano jej piękność, zapragnęła aby także podziwiano jej przymioty i cnoty, i rzeczywiście stawiano ją wkrótce innym kobietom za wzór do naśladowania. Tak młoda, tak cudownie piękna, mówiono, a jakże przykładnie się prowadzi, jak bezgranicznie poświęca się dla swego starego męża!

Księżna de Miranda posiadała niezrównany talent przedstawiania się zawsze w jak najkorzystniejszem świetle. Nigdy nie rządziła się pierwszem uczuciem lub wrażeniem: zabiła je w dniu w którym zezwoliła ozdobić swoje skronie książęcym diademem. Od owej chwili wszystko w niej było sztuczne, wesołość czy smutek, łzy czy uśmiechy, były wynikiem jej woli a nie uczucia — to też wszystko objawiało się zawsze w miarę i w właściwej porze.

Dom jej urządzony był na wysoką i wspaniałą skalę; wiodła królewskie życie, wolne od nieodłącznych od tronu kłopotów. Z powodu słabego zdrowia księcia, nie wiele bywała w świecie, ale dobijano się o zaszczyt bywania w jej salonach, w których przyjmowała kwiat arystokracyi i nawet towarzystwo dworskie.

Książę był nadzwyczaj ujęty i rozrzewniony tkliwemi staraniami jakiemi nieustannie otaczała go piękna i młoda żona; był jej niewymownie wdzięczny za urok jakim opromieniała jego życie i czcił ją jak bożyszcze. Chlubił się z tak wzorowej żony i cieszyło go to niewymownie, że mimo tak wielkiej różnicy wieku, księżna zdawała się być zupełnie szczęśliwa.

Słabowity i cierpiący, książę z żoną tylko był swobodny, w towarzystwie zaś zwykle milczący i posępny; obrał sobie jeden róg salonu, tam zawsze siadywał i grał w szachy. Gości witał tylko ukłonem, rzadko do kogo przemówił słowo, ale prawie nie spuszczał oka z Izabelli. Patrząc z jaką godnością spełniała obowiązki gospodyni domu, jak umiała poprowadzić rozmowę i ożywić towarzystwo, czuł się dumnym z niej i był szczęśliwy. Wierny partner jego, kawaler Luvigo, szanował zachwyt z jakim książe wpatrywał się i podziwiał żonę, nie robił żadnego posunięcia póki nasycony jej widokiem, nie zwrócił się do przerwanej gry. Trudniej daleko było grać w szachy z księciem, niż grać w nie mistrzowsko.

Nareszcie po pięciu latach tego szczęśliwego pożycia, książe Miranda umarł zapisawszy żonie swój ogromny majątek.

Po śmierci męża, księżna spędziła kilka miesięcy w zupełnej samotności, nie przyjmując nikogo. Nie szło jej o to aby ukryć łzy swoje przed światem, ale o to aby nie widziano że nie uroniła ani jednej.

Księżna miała wówczas lat dwadzieścia trzy,— dwa lata chodziła w żałobie, — tak jej było do twarzy w czarnej krepie! a potem ten jej smutek i żal po zmarłym mężu, czynił ją przedmiotem podziwienia całej prawie Francyi i Hiszpanii.

Gdy nareszcie uznała stosownem zdjąć żałobę, jednocześnie postanowiła sobie nie iść powtórnie za mąż! Stanowisko jej mogło zadowolnić najwyuzdańszą nawet próżność, i doskonale pojmowała wielkie jego korzyści. Była najpiękniejszą z najpiękniejszych, miała ogromny majątek, mogła wieść jak najokazalsze i całkiem niezależne życie, robić co jej się spodoba, nie zważając na nikogo i na nic, nawet na świat, który oczarowany, tylko uwielbiać i hołdy składać jej umiał.

Jednak postanowiła więcej jak kiedykolwiek czuwać nad sobą, gdyż czuła skały i rafy kryjące się pod niezamąconą jej szczęścia powierzchnią. Wiedziała że może zginąć jeżli nie będzie używać go z umiarkowaniem, a ceniła się zbyt wysoko aby nierozważnie puścić na wiatr swoją dobrą sławę.

Choć szalenie lubiła świat i jego uciechy, jednak przez dwa lata żałoby zupełnie odsunęła się od niego, ale nie tracąc tego czasu, pracowała w cichości nad swojem ukształceniem, wiedząc jakiego uroku dodaje ono piękności. Przez następne dwa lata zaczęła przyjmować małą garstkę wybranych osób należących do najwyższego towarzystwa, o którego uznanie najwięcej jej chodziło. Wyjątek taki uważano sobie za największą łaskę, a wybrańcy nie znali granic swego dla niej uwielbienia, i nie przestawali głosić jej wielkich cnót i przymiotów, Wtedy księżna Miranda uznała że może używać wolności, której dla tego tylko zrzekła się na tak długo, aby swobodniej korzystać ze swej niezależności.

Jej powrót do świata wielkie wywołał wrażenie; wyborna aktorka dawała poznać wszystkim że czyni to nie dla przyjemności, ale spełnia tylko ciężki obowiązek jaki wkładają na nią jej stanowisko i majątek. Ubierała się nader kosztownie, wydawała świetne bale i przyjęcia, przyjmowała zaproszenia, umiała jednak tak się przedstawić że robi to ustępstwo nie mogąc się oprzeć nieprzepartym naleganiom. I rzeczywiście ubiegano się o jej zaproszenia, uważano sobie za największy zaszczyt kogo odwiedzić raczyła.

W tej właśnie epoce przedstawiono księżnej Miranda hrabiego d'Elcairet.

Jerzy miał wówczas lat dwadzieścia cztery, i uosabiał ideał o jakim marzyła zanim pycha i próżność uczyniły młode jej serce niedostępnem dla wszystkich poetycznych rojeń. Serce to nigdy jeszcze nie kochało, a jednak nie zdolne było doznać rozkosznych wrażeń pierwszej miłości—i w tem może leżała jego kara. Księżna Miranda mogła jeszcze być namiętną, ale dusza jej była zbyt pozioma aby mogła wznieść się do uczucia prawdziwej miłości; grając rolę nieczułej, stała się nią rzeczywiście. Nie była już teraz taką jaką Bóg ją stworzył, ale jaką się sama wyrobiła.

Wszystkie jej słowa, postępowanie a może nawet i wszelkie wrażenia, podlegały sztucznemu życiu jakie wiodła od chwili zamążpójścia, a które powoli stało się prawdziwą jej naturą. Tak więc nie serce ale wyobraźnia jej została podrażnioną.

Widziała w hrabi d'Elcairet doskonały typ prawdziwego szlachcica, co pochlebiało jej upodobaniom wielkiej pani; pociągał ją energiczny jego charakter, umysł wyższy i pewna rycerskość obejścia. Poznała wyższość jego charakteru i dążności, i sama myśl że ukorzy się przed nią i jej wszystko zawdzięczać będzie — gdyż wiedziała że jest ubogim i postanowiła go wzbogacić—sprawiła jej niewymowną rozkosz, zadawalniając jej pychę. Wiedziała że Jerzy jest za nadto dumnym aby chciał cośkolwiek przyjąć od niej. ale wiedziała także iż może zrobić go bogatym, bardzo bogatym i to w sposób że nie będzie potrzebował schylać czoła przed fortuną.

Myliłby się ktoby sądził iż pobudką tego było przykre wspomnienie własnego jej ubóstwa i cierpień na jakie ono ją skazywało, lub też żywe współczucie albo głębsze przywiązanie—bynajmniej, tylko księżna pani zaczynała się nudzić, a obmyślanie świetnej przyszłości dla Jerzego, miało stanowić dla niej jakąś rozrywkę i zajęcie.

Hrabia został zachwycony jej wspaniałą pięknością i stał się jej niewolnikiem. Czcił ją i uwielbiał jak bóstwo — a księżna tak właśnie pragnęła być uwielbianą. Żądna kadzideł i hołdów, lękała się uniesień i wzruszeń, nie chciała być kochaną ale ubóstwianą. Jerzy nie wiedząc o tem spełniał jej pragnienie, gdyż w gruncie w sercu jego więcej było zapału niż miłości, nie uczucie ale próżność jego była zadowolnioną.

Księżna Miranda prowadziła dom na tak pańską skalę, miała tak wysokie stosunki, iż poparcie jej otwierało protegowanemu najświetniejszą przyszłość. Każde jej życzenie stawało się prawem, każde polecenie doprowadzało do celu, oddawała też nader ważne usługi, choć nigdy nie kierowała nią chęć spełnienia dobrego uczynku, nigdy serce jej żadnego w tem nie miało udziału. Jedyną jej po-

budką była próżność i chęć okazania swej władzy.

Gdy tylko poznano że księżna „zajmuje się losem Jerzego“ nikt bowiem nie ważył się—nietylko mówić ale nawet myśleć nic innego, — tak umiała się postawić, wszystkie drzwi otworzyły się przed nim, szczęście i bogactwo samo zdawało się go szukać bez żadnych z jego strony starań. Jakoż wkrótce nazwisko hrabiego d'Elcairet zaczęło figurować w Radach najznakomitszych kolei żelaznych, bogaci bankierowie przypuszczali go do swych zyskownych przedsiębierstw, najkorzystniejsze kopalnie otwierały przed nim swe skarby; miał wolny wstęp do wszystkich ministrów, a jeźli przyszła mu czasem myśl grać na giełdzie, złoto napływało do jego kieszeni.

Jerzy lubił przepych i zbytek, był hojnym, ale unikał marnotrawstwa; wstręt jaki czuł do ubóstwa nakazywał mu przezornie używać bogactwa. W początkach trzymał konie wyścigowe, rozrzucał pieniądze na wszystkie strony, ale ten napad marnotrawstwa trwał bardzo krótko, tyle tylko aby miano czas mówić o wielkich jego wydatkach i rozgłosić jego rozrzutność i hojność. Nieznacznie ograniczył wydatki domowe, zbytkowne ekwipaże i stajnie; i nie przestając przedstawiać się hojnym i wspaniałomyślnym, przybrał postawę i obejście człowieka poważnego, nie przestając jednak być miłym i uprzejmym światowcem, o którego dobijano się coraz więcej i zaczynano już starać się o jego względy i protekcyę.

Miał wielkie dochody, mógł więc zadowolnić swoje zamiłowanie w sztukach pięknych, bez ściągnięcia na siebie zarzutu rozrzutności, a hotel jego zamienił się w prawdziwe muzeum, zdradzające na każdym kroku wytworny smak i znawstwo właściciela.

Jerzy ochłonął już nieco z wielkiego zapału jaki z początku czuł dla księżnej, miejsce jego zajęło spokojniejsze uczucie. Upłynęło lat kilka, wyrachowanie hrabiego zaczęło przeważać, i choć nie przyznawał tego przed sobą; jednakże obecnie cenił głównie pozytywną stronę tego stosunku. To też od dość dawnego już czasu uczucia i hołdy jego nie tyle zwracały się do bogini, ilo do złotego deszczu jaki na niego sprowadzała.

Mimo to zewnętrznie nic nie zdradzało tej zmiany. Przeciwnie, ponieważ w miarę zmniejszania się uczucia, był więcej panem siebie, mógł więc postępować rozważniej i podwajał oznaki miłości która zastygła w sercu. Księżna poprzestawała na tem; nadzwyczaj wymagająca pod względem hołdów i zewnętrznych oznak uwielbienia, nie wiele dbała o szczerość uczucia. Pycha jej nie zezwoliłaby nigdy na to aby hrabia w jej obecności inną zajmował się kobietą, ale gdy go nie widziała ani myślała o nim, i nigdy zazdrość nie postała w jej sercu.

Jakkolwiek księżna zaliczała się do modnych dam wielkiego świata, jednakże umiała zająć wśród nich zupełnie odrębne stanowisko. Kosztowne jej stroje nosiły na sobie cechę pańskości i dobrego gustu; nie wyprzedzała, nie naśladowała niewolniczo mody, umiała trzymać się środka i zastosować do toalety wyborny takt jaki przewodniczył jej w całem życiu, i któremu zawdzięczała iż nietylko dobra jej sława nigdy najlżejszym cieniem przyćmiona nie była, ale sama jej obecność była tarczą reputacyi kobiet znajdujących się w jej towarzystwie. Jeźli szło o jakieś zebranie o którem często źle mówią jedni przez zazdrość, drudzy przez surowość zasad, dość było komuś odezwać się: *to niepodobna, nic niestosownego nie mogło tam mieć miejsca, bowiem księżna de Miranda tam była* — a nikt nie wątpił że wszystko co mówiono na niekorzyść, było potwarzą.

Zdobywszy sobie takie stanowisko, księżna strzegła go jak oka w głowie. Dla zachowania go miała swoje krzesło w kościele Ś. Tomasza z Akwinu i najregularniej uczęszczała na nabożeństwo; miała loże w Operze i w Operze Włoskiej, i nie opuszczała pierwszych przedstawień, zarówno jak konferencyi w kościele N. Panny i posiedzeń dam miłosierdzia; wydawała wspaniałe obiady, wieczory i bale, zapisywała się najpierwsza na liście rozgłośnych dobrych uczynków, rozdawała hojne jałmużny i wydawała szalone summy na stroje i powozy. Wszystko to robiła na zimno i z wyrachowaniem, gdyż w gruncie nie była ani pobożną ani bezbożną, ani hojną ani skąpą, ani zupełnie złą ani dobrą, ale nadewszystko próżną i pragnącą wynosić się nad innych.

Takie jej postępowanie budziło podziw i uwielbienie hrabiego. Ta kobieta umiejąca zawsze i w każdem położeniu znaleźć się z najdoskonalszym taktem, być zarazem poważną i nadzwyczaj zważającą na wszystko, nie przestając być zachwycająco powabną i piękną, wywierała na niego nieopisany urok. Powoli zdołała ona zmiękczyć jego dumę i nieugiętość, wpłynąć na zmianę charakteru według swego sposobu widzenia, i uczynić go nie niewolnikiem ale dobrowolnym poddanym i zapalonym wielbicielem.

Pomimo swej dumy, hrabia czuł jak wiele zawdzięcza księżnej Miranda, i nie upokorzało go to bo w jego przekonaniu nie była ona zwykłą kobietą ale typem doskonałości.

Nie kochali się już w sobie, może nawet nie kochali się nigdy, ale mogli wzajemnie chlubić się jedno drugiem, Jerzy dumnym był z miłości księżnej księżna z jego uwielbienia.

Jednakże hrabia uczuwał jakąś dziwną czczość i próżnię w swojem życiu, pomimo że spełniały się jego najwyżej sięgające życzenia, miał już majątek miał wielkie powodzenie w świecie—i wszystko to zobojętniało mu, prawie nudziło. Nie pojmował że powodem tego była próżnia panująca w jego sercu. —I w takiem to usposobieniu poznał pannę d'Astri.

IV.

Opuściwszy księcia Fabiani. hrabia pojechał zaraz do Versalu. Przybywszy tam, oznajmił stryjowi dziwne i smutne wiadomości jakich dowiedział się od księcia, prosząc aby się podjął smutnego zadania i zawiadomił o tem biedną sierotę.

Porównywając to co słyszał od synowca z tem co wiedział dawniej, markiz d'Elcairet łatwo sobie wytłomaczył tajemnicę urodzenia Laury i nie ukrywał domysłów swoich. Obydwa uznali iż najstosowniej byłoby gdyby Laura na jakiś czas zamieszkała w klasztorze, i markiz postanowił udzielić jej tej rady.

Gdy Laura dowiedziała się smutnej prawdy, bezmierna boleść zawładnęła jej duszą. Nie była córką hrabiny Fabiani!... nie miała prawa nosić tego nazwiska!... nie należała do tej familji!... nie należała do nikogo... Ojciec jej już nie żył; na całym świecie nie było ani jednego serca do którego mogłaby się odwołać, ani jednej istoty któraby ją kochała i zajmowała się jej dolą!... Była sama jedna na tym wielkim świecie, — mogła żyć albo umierać być szczęśliwą lub nieszczęśliwą, nie budząc w nikim współczucia ani litości.

Rozpacz jej prawie graniczyła z obłędem, nieszczęście które ją dotykało było tak nieprzewidzianem, tak nie mogła być do niego przygotowaną iż o mało nie przypłaciła go życiem. Gorączka jaka opanowała ją od chwili śmierci hrabiny Fabiani wzmogła się jeszcze,—jednakże wieczorem przyjęła odwiedziny Jerzego, który przyszedł oznajmić jej że książe Fabiani pragnie się z nią widzieć.

— Niech przyjdzie, odrzekła łagodnie, jest synowcem mojej opiekunki, nie mogę więc odmówić; czekam go jutro.

„Dziwna rzecz, pomyślał sobie Jerzy, że go wcale nie podejrzywa!

Książe przedstawił się z miną człowieka pewnego siebie i nie mającego sobie nic do zarzucenia. W przeddzień odesłał jej różne przedmiota należące do zmarłej hrabiny, ekritoarkę, szkatułkę, kasetkę z klejnotami, oraz jej własny fortepian i bibliotekę. Ta okoliczność ułatwiła początek rozmowy; jednakże w pierwszej chwili zobaczenia księcia, Laura tak gwałtownego doznała wrażenia, że przez kilka sekund słowa przemówić nie mogła. Zapanowawszy nad sobą, podziękowała uprzejmie za przysłane przedmiota; mówiła o zmarłej hrabinie z nieograniczoną wdzięcznością i szacunkiem, nazywając ją nie matką ale opiekunką swoją, a wyrażała się z taką godnością i spokojem, że książe zmięszał się prawie. Zamiast upokorzonej i zakłopotanej dziewczyny, jaką znaleźć się spodziewał, miał przed sobą kobietę zajętą jedynie żalem i boleścią nad utratą ukochanej istoty i zupełnie nie myślącą o sobie.

Książę przykrego doznał zawodu, widząc z jaką mocą duszy panna d'Astri znosi swoje nieszczęście —przyszedł cieszyć się jej upokorzeniem, a spotyka tak niezwykłą w młodej dziewczynie odwagę i siłę charakteru. To jej zachowanie się zmięszało go; wyglądał jak winowajca stojący przed swoim sędzią. Zauważyła to Laura, choć nie pojmowała powodu. Odchodząc książe prosił aby mu wolno było ją odwiedzać—Laura ukłoniła mu się nic nie odpowiadając; zrozumiał że choć nie odmawia wyraźnie, jednak nie pragnie go widzieć—i zadrasnęło to jego miłość własną.

Wyszedłszy od niej i mijając inne pokoje, książe nie otrząsnął się jeszcze z wrażenia jakie wywarły na nim te odwiedziny. „Co za kobieta! mówił sobie, jaka siła charakteru, jak umie panować nad sobą!... prawie pewny jestem... i nie dokończył swej myśli. Gdyby była hrabianką Fabiani, córką mego stryja, myślał znowu, chętniebym się z nią ożenił...“

Tak rozmyślając zszedł ze wschodów i stanął w przedsionku, gdy nagle drzwi się otworzyły i hrabia Jerzy wyszedł do niego, mówiąc:

— Racz książę zaszczycić mnie chwilką rozmowy, i poprosił go do salonu.

Wszedłszy tam, rzekł, wprost przystępując do rzeczy.

— Wiesz pan że zupełnie mimowolnie zostałem wtajemniczony w jego interesa familijne a nie dość na tem posiadłem tajemnicę której nie chcę zachować wyłącznie dla siebie. Czyniąc zadość prośbie stryjenki pana, hrabiny Fabiani, markiz d'Elcairet i ja przysięgliśmy jej że nie zdradzimy nigdy tej tajemnicy, ale nie może się to odnosić do pana.

Książę skłonił się dając tem poznać że gotów jest wysłuchać co hrabia ma mu do powiedzenia.

— Owej nocy, mówił hrabia, straszna zbrodnia została popełnioną...

I zatrzymał się patrząc na księcia.

— Nie rozumiem pana, odrzekł tenże nie zmieszany, z lodowatą obojętnością.

— A kiedy tak, więc sprobuję tłomaczyć się jaśniej. Owej pamiętnej nocy, dwóch mężczyzn, dwóch podłych nędzników i tchórzy—bo napadli we dwóch na biedną kobietę pozbawioną wszelkiej pomocy—dwóch złodziei, ponieważ przymusili hrabinę do napisania testamentu wydziedziczającego pannę d'Astri.

— A! pannę d'Astri'!!...

Niepodobna wysłowić pogardy, szyderstwa i zasyconej zemsty, z jakiemi książe Julio wymówił te słowa.

— Książe Julio Fabiani, mówił pewnym głosem Jerzy, ty byłeś jednym z tych niecnych morderców.

— Panie! wykrzyknął Włoch, i twarz jego siną pokryła się bladością, oczy iskrzyły się wściekłym gniewem.

— Książe Fabiani, powtarzam, byłeś jednym z dwóch morderców. Nie zamordowałeś wprawdzie stryjenki przyniesionym ze sobą sztyletem, ale zabiłeś ją przerażeniem jakie w niej wzbudziłeś.

Odurzony przez chwilę tak gwałtowną i nieprzewidzianą napaścią, książę zerwał się nagle podbiegając ku Jerzemu, i zawołał ze złością:

— Skłamałeś, panie hrabio, i musisz dać mi zadość-uczynienie.

— Tego właśnie chciałem, odrzekł Jerzy z zimną krwią, która nie opuściła go ani na chwilę.

Cała ta scena trwała zaledwie chwilę: umówili się że przyszlą do siebie sekundantów i razem wyszli na peron. Tam pożegnali się uprzejmym ukłonem jakby nic między nimi nie zaszło, i książę wsiadł do oczekującego nań powozu.

Jerzy był tak spokojny iż mógł zaraz udać się do panny d'Astri i zastał ją owładniętą nader boleśnem wzruszeniem. Bardzo wiele łez wylała, a widok księcia tak silnie oddziałał na delikaty jej organizm, iż pomimo całej mocy nad sobą nie mogła zapanować nad ogarniającem ją nerwowem drżeniem.

— To on zabił moją matkę! zawołała zobaczywszy wchodzącego Jerzego: ja to wiem, ja to czuję.. odgadywałam to od pierwszej zaraz chwili—a teraz jestem tego pewną. Prawie drżał przedemną... nie śmiał spojrzeć mi w oczy... Biedna matka moja nie lubiła go... obawiała go się.. wiedziała że to człowiek zły i przewrotny... Dawniej, kiedy jeszcze wiódł w Paryżu nader wystawne życie, bywał u niej czasami, ale od chwili jak wszystko stracił nie pokazywał się nigdy, i matka moja bardzo z tego była zadowolnioną. Jest to człowiek niegodziwy, który wielu już dopuścił się nikczemności, zdolny uciec się choćby do zbrodni. Bądź ostrożnym, hrabio, od takiego nędznika wszystkiego obawiać się można.

Jerzy uspokoił ją mówiąc że potrafi się zabezpieczyć aby książę Fabiani nie mógł nigdy szkodzić ani jej, ani jemu lub stryjowi.

— Prawda, odrzekła, niepodobna aby się nie domyślał że pan hrabia może go podejrzywać, a i Zampieri jest to także łotr wierutny; hrabina wiedziała o tem, i nie raz myślała oddalć go i komuś uczciwszemu powierzyć swoje interesa, ale słabość zdrowia pozbawiała ją potrzebnej do dokonania tego energii... Pytał mnie pan hrabia co myślę o tem nonenem zajściu — i nie śmiałam odpowiedzieć na to pytanie—dziś jednak muszę zdobyć się na te odwagę. Testament jaki przedstawiają jest sfałszowany, hrabina pod tą datą nie pisała żadnego, i nigdy nie zapisałaby swego majątku księciu Fabiani, którym pogardzała. Wiem dobrze iż na dwa tygodnie przed śmiercią zrobiła testament, którym czyniła mnie jedyną swoją spadkobierczynią — sama mi to powiedziała. Zamiarem jej było zaraz po powrocie do Paryża, złożyć go u notaryusza.

— Czy wiesz pani gdzie jest ten testament? zapytał Jerzy.

— Nie wiem, odpowiedziała obojętnie, i nie chcę go szukać ani produkować.

Hrabia zrozumiał powody dla których nie pragnęła znalezienia wspomnianego testamentu i nie nalegał więcej.

— Sześć tysięcy franków renty których tytuły doręczył mi pan markiz, dawno już wyznaczyła mi hrabina na drobne moje wydatki — ale, wówczas...

Łzy przerwały jej mowę.

— Nie mam sił ani odwagi mówić więcej, rzekła słabnącym głosem, a i tak nadużyłam już cierpliwości pana hrabiego... Teraz tego tylko pragnę i o to jedynie błagać będę Boga, aby niecna ta zbrodnia nie uszła bezkarnie.

— Mam nadzieję że prośba pani będzie wysłuchaną, odrzekł Jerzy i wyszedł.

Nazajutrz hrabia d'Elcairet i książe Fabiani pojedynkowali się na szpady. Jerzy został lekko ranny w rękę, ale książe nieostrożnie pochylił się na szpadę przeciwnika i stracił oko. A tak morderca został napiętnowany niezatartym znakiem.

V.

Jakkolwiek rana hrabiego nie była niebezpieczną, jednak zniewolony był czas jakiś zostawać w łóżku. Jak tylko mógł przyjmować odwiedzających, kazał zaraz przywołać pana Zampieri.

— Długie frazesy byłyby zbyteczne, rzekł mu, wiadomo panu że wiem wszystko; zmierzam więc wprost do celu. Nie probuj pan zapierać się, bo to nadaremnie, słuchaj więc tylko uważnie co powiem, abyś słowa moje umiał wiernie powtórzyć swemu wspólnikowi, księciu Fabiani.

„Tak ja, jak stryj mój, markiz d'Elcairet, dotrzymamy przyrzeczenia uczynionego umierającej hrabinie Fabiani, i nie wydamy nic z tego cośmy widzieli i słyszeli — ale uważać się będziem za zwolnionych od wszelkiego zobowiązania, jeżliby któryś z was, czy pan czy książe Fabiani, zapragnął mścić się lub szkodzić w czemkolwiek pannie d'Astri, markizowi lub mnie. W takim razie zrobionoby natychmiast użytek z zeznania szczegółowego, podpisanego przez nas troje i złożonego w pewnych rękach. Do zeznania dołączyłem ślad nóg pana i księcia, nic więc nie brakuje.

To powiedziawszy, nie czekając odpowiedzi wskazał drzwi przybyłemu.

Jak tylko Jerzy mógł wyjeżdżać, zaraz udał się do Versalu. Wiedział że panna d'Astri chorowała, ale nie mówiono mu iż było to tak gwałtowne zapalenie mózgu iż zwątpiono o jej życiu. Dowiedziawszy się o tem, uczuł się żywo wzruszonym.

Smutne położenie młodej dziewczyny budziło w nim gorące współczucie. Wszak i on kiedyś przeszedł równie nagle od pieszczot ojca i słodyczy rodzinnego ogniska, do opuszczenia i najboleśniejszego osamotnienia — bo osamotnienia wśród rodziny. Stawało mu w pamięci wszystko co przebolał po śmierci ojca, i od owej chwili nigdy jeszcze nie czuł się tak żywo wzruszonym, jak gdy pomyślał ile to cierpień i smutków spadnie na biedną Laurę. Bolał nad nią jakby nad własną siostrą, gdyż dla niego nie była ona młodą i ładną dziewczyną, ale siostrą w cierpieniu, łączyła ich wspólność trosk i boleści, budząca w nim nieograniczony szacunek i chęć przyniesienia jej ulgi.

Gdy minęło niebezpieczeństwo, gdy chora zaczynała przychodzić do zdrowia, otaczał ją najdelikatniejszemi względami: starał się odgadywać coby jej mogło zrobić przyjemność, uprzedzał jej życzenia. Ta serdeczna uprzejmość jego rozrzewniała Laurę, osładzała gorycz osamotnienia i tę ciężką boleść budzącą się w sercu na samą myśl że została sama jedna na świecie, bez rodziny i przyjaciół.

Rzeczywiście teraz pozostała Laurze jedna tylko istota na której przywiązanie liczyć mogła—a była nią Santella Jacomi, która ją wychowała i nie odstępowała od dziecka. I obecnie, podczas tej ciężkiej choroby: Laura głównie jej poświęceniu i troskliwości zawdzięcza swe wyzdrowienie.

Panna d'Astri zawsze umiała cenić tę zacną kobietę, a w obecnem osamotnieniu jakże drogiem jej się stało przywiązanie Santelli! Była to jedyna jej pociecha; z nią mogła mówić o przeszłości, i o tej ukochanej zmarłej, którą od lat dziecinnych nazywała matką i bezgranicznem ukochała przywiązaniem.

Przez poszanowanie pamięci hrabiny, Laura nie starała się zbadać tajemnicy swego urodzenia, którą widać musiała znać Santella, bo gdy obecnie zmieniła nazwisko nie okazała żadnego zadziwienia, i nazywała ją panną d'Astri, jak gdyby nigdy nie nazywała się inaczej. Biedna sierota była jej niewymownie wdzięczną że oszczędzała jej wszelkich zapytań na które nie umiałaby odpowiedzieć,—a na jakież to gorzkie cierpienie skazywało Laurę to nowe nazwisko, ilekroć mianowano ją niem lub gdy jej przychodziło go podpisać.

Choroba Laury spowodowała w domu markiza pewien nieład i zamieszanie, zakłócające regularne jego nawyknienia, co bardzo zaczynało mu się przykrzyć. Dotąd nie okazywał tego zbyt wyraźnie, ale Jerzy odgadywał myśli stryja, przeczuwał że panna d'Astri nie budzi w nim tego zajęcia jakie wzbudzała bogata hrabianka Fabiani. Jakoż niebawem przekonał się o prawdziwości swoich domysłów.

Markiz nic mu nie powiedział ale w gruncie bardzo był niezadowolniony z jego pojedynku, gniewało go niewymownie że synowiec pojedynkował się za sprawę Laury. Dalej widział grzeczności i względy jakiemi Jerzy otaczał pannę d'Astri, a gdy osądził że miara ich się przebiera, wybuchnął, ale po swojemu, zimno i z szyderstwem.

— Do krocśet, panie synowcze, rzekł pewnego razu do Jerzego, śmiejąc się zwykłym sobie nerwowym, sarkastycznym śmiechem, spodziewam się że nie popełnisz tej niedorzeczności, abyś się miał zadurzyć w tej dziewczynie, która nie wiedzieć kto jest i zkąd się wzięła. Kochaj się, jeżli chcesz, niech się księżna o to kłopocze: ale co do mnie, oznajmiam ci najwyraźniej że nigdy nie zezwolę aby została moją synowicą. Proszę nie zapominaj o tem!

Doktór zalecał pannie d'Astri zmianę powietrza i hrabia podjął się wyszukać jej mieszkania na wsi, gdyż nie życzyła sobie mieszkać w Paryżu.

W tydzień potem przeniosła się do Saint-Mandé.

VI.

Był to grudzień mroźny i posępny, ale tak dobrze opatrzono drzwi i okna w małym domku w Saint Mandé, a pokoiki urządzono z pewnym komfortem, że Laura znalazła w nim dość wygodne pomieszczenie.

Sypialny jej pokój i salonik mieściły się na dole, a z nich wychodziło się na peron prowadzący do maleńkiego ogródka. Pokoiki te położone były od południa—jeźli istnieje jeszcze południe, gdy wicher dmie, śnieg pada a słońce się nie pokazuje.

Czas tak posępny i mroźny trwał już od kilku tygodni, nie sprawiało to jednak wielkiej przykrości młodej rekonwalescentce; była już tak osłabiona że życie jej intellektualne zostawało jakby w zawieszeniu—czuła tylko spokój i tę jakąś błogość tak pożądaną po silnych wstrząśnieniach.

Powoli jednak zaczęła odzyskiwać siły, a wtedy myśl rozbudzona zbudziła z letargu ostre cierpienie moralne, przygłuszone czasowo fizycznem cierpieniem.

Mały jej salonik był bardzo posępny. Nieświeże szare obicie szpeciły jeszcze plamy wilgoci: meble były stare i zniszczone, kobierce wypełzłe, co wszystko razem stanowiło całość niepokaźną i pretensyonalną zarazem, jak to zazwyczaj bywa w najętych umeblowanych mieszkaniach. Powinno to było nader przykre zrobić wrażenie na pannie d'Astri, przyzwyczajonej od lat dziecinnych do zbytku i przepychu. Ani pomyślała o tem, nie płakała utraconego bogactwa, płakała za ukochaną matką.

Zmianę położenia swego przyjęła ze zwykłą wzniosłym duszom rezygnacyą, i w pierwszych chwilach nie cierpiała nawet nad tem — czuła tylko na każdym kroku brak kochającej matki i co chwila gorzko płakała nad jej stratą. Nie była w stanie zająć się czemśkolwiek, i całe dnie przesiadywała zatopiona w boleśnych rozmyślaniach. Daremnie biedna Santella usiłowała wszelkiemi sposobami wyprowadzić Laurę z tego stanu osłupienia, który nie dozwalał jej powrócić do zdrowia—troskliwe jej starania pozostawały bezowocne.

Z początku panna d'Astri nie dostrzegała nawet tych oznak przywiązania poczciwej sługi, tak nie zwracała uwagi na nic co ją otaczało, ale gdy nareszcie zauważyła je, uczuła się tak rozrzewnioną iż żywą przejęta wdzięcznością starała się zapanować nad swą boleścią, aby nie martwić dobrej Santelli.

Minęła zima; nadszedł marzec a z nim i piękniejsze dnie, a choć świat nie miał teraz dla biednej sieroty wielkiego uroku, jednak z pierwszem tchnieniem wiosny zbudziło się w niej to nieokreślone uczucie powstające w każdej młodej istocie której z blizka śmierci zajrzała w oczy — uśmiechnęła się do życia, oddychała z zadowolnieniem ciepłem i wonnem orzeźwiającem ją powietrzem. Zeszła do swego maleńkiego ogródka; patrzyła z przyjemnością na zieleniące drzewa i rozkwitające bzy, i zaczęła zajmować się jego urządzeniem. Jasny blask słońca rozpogadzał jej posępne myśli; a niekiedy zapatrzona w piękne bezchmurne niebo, uczuła w sercu jakby kiełkujące nadzieje.

Wiedziona poczuciem delikatności, zerwała wszelkie stosunki ze światem, chciała aby zapomniano o niej i nie tworzono żadnych przypuszczeń i komentarzy, mogących cień jaki rzucać na pamięć jej matki. Tym sposobem widywała tylko obce lub obojętne osoby, kto wie jednak czy mimo jej wiedzy nie budziło się w niej uczucie osładzające ciężką dolę.

Z początku Jerzy przychodził tylko dowiadywać się o zdrowie panny d'Astri; później gdy już mogła go przyjmować, oddawał jej krótkie wizyty, potem zaczynał bawić nieco dłużej, a nareszcie odwiedzał ją codziennie.

Laura nieznacznie przyzwyczaiła się do tych odwiedzin, i Jerzy zajął miejsce w jej życiu, stał się dla niej jakby opiekunem i doradcą, otaczał tkliwemi staraniami, usuwał te tysiączne trudności z jakiemi walczyć musi kobieta sama sobie zostawiona. Był to jedyny jej przyjaciel w całym świecie —nikt nie obchodził ją na niem prócz niego. A potem on jeden tylko znał tajemnicę boleśnych jej cierpień, z nim jednym mogła mówić o nich.

W jego obecności nie czuła się tak nieszczęśliwą, gdy się oddalił nie czuła się tak samotną, bo towarzyszyło jej jego wspomnienie. I ani na myśl jej nie przyszło że te codzienne odwiedziny hrabiego mogą ją kompromitować—przyjmowała go tak jakby przyjmowała brata.

Początkowo, rozmowy ich ożywiało jedynie, z jednej strony szczere współczucie, z drugiej głęboka wdzięczność — gdyż Laura wiedziała że Jerzy ukarał księcia Fabiani którego uważała za zabójcę swej matki. Powoli rozmowy te zamieniły się w poufne pogadanki; Laura zwierzała się otwarcie ze swoich smutków i boleści, Jerzy po raz pierwszy w życiu uczuł potrzebę wypowiedzenia swoich. Opowiadał jej cierpienia i udręczenia swoich lat dziecinnych, trudności i zniechęcenie z jakiem musiał walczyć w młodocianym wieku, i nareszcie próżnię jaką uczuwał w sercu, pomimo tak świetnego obecnie powodzenia.

Księżna nie troszczyła się ani o duchową stronę ani o serce Jerzego—co jej było po niem skoro sama nie miała go wcale? Może nawet nie byłaby z nim tak swobodną gdyby przypuszczała że ma serce—bałaby się aby to nie nabawiło ją jakiego kłopotu.

Panna d'Astri przeciwnie przez samą żywość, delikatność i szlachetność własnych uczuć, uszlachetniała serce Jerzego, budząc w niem uczucia zagrzebane głęboko i jakby śmiertelnym snem uśpione. Gdy mówił jej o sobie, słuchała ze skupieniem ducha, bojąc się stracić choćby jednego słówka. Pochlebiało jej to i rozrzewniało zarazem że stała się jego powiernicą.

Wiedziała o tem że hrabia d'Elcairet słynie jako doskonały typ elegancyi i salonowości, jako człowiek wielkich zdolności, ale zarazem jako zimny pozytywista — to też jakże miłą było dla niej niespodzianką gdy objawiał się jej tak zupełnie innym niż powszechnie mniemano, z jaką rozkoszą odkrywała w nim przymioty jakie pragnęła znaleźć w swoim zbawcy i przyjacielu! Braterskie uczucie zamieniło się niebawem w tkliwą przyjaźń, bo jeźli Jerzy porywał wszystkich urokiem swego dowcipu i salonowych przymiotów, o ileż większy wywierał urok jeźli uchylał zasłonę pokrywającą jego serce które dotąd nikogo nie kochało i łączyło w sobie młodzieńczą żywość i uniesienia, obok najdelikatniejszych objawów prawdziwego uczucia.

Gdy nareszcie Laura poznała uczucie miotające jej sercem, tkwiło ono w niem już tak głęboko że niepodobna jej było przestać kochać. Najtrwalsze bywają uczucia budzące się tak nieznacznie, ale Laura nie znała jeszcze potęgi powstałego w jej sercu. Zdawało jej się że potrafi ukryć i zapanować nad miłością swoją, i w obejściu jej zaszła pewna zmiana, która przecież nie uszła uwagi hrabiego.

Panna d'Astri była pełna powabu; piękność jej nie uderzała, nie olśniewała od pierwszego spojrzenia, ale powoli, nieznacznie wnikała do duszy. Im dłużej ktoś się w nią wpatrywał, tem trudniej było mu oczy oderwać od niej. Głos nader dźwięczny, postawa, ruch, obejście, wyraz twarzy, nieprzepartym pociągały urokiem.

Średniego wzrostu, szczupła, wysmukła, kształtnie zbudowana, twarz różowawo blada, a wiadomo jak pięknie płeć taka odbija od włosów ciemno blond, ze złotawym odblaskiem. Smętne jej spojrzenia przyciągały jakąś magnetyczną siłą, a jeźli radość jaka ożywiła jej wielkie czarne oczy, długie rzęsy nie zdołały wtedy zaćmić ich blasku—zdawało się że promień słońca pada na jej rozmarzoną twarzyczkę.

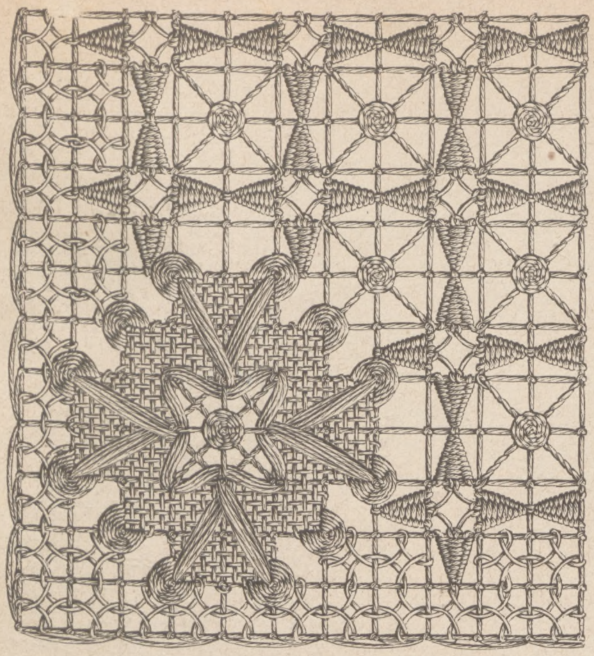
Odznaczała się bystrością umysłu obok niezwykłej łagodności charakteru; obdarzona nader żywym zmysłem spostrzegawczym, chwytała najdelikatniejsze odcienia, nic nie mogło ujść jej uwagi, ale pobłażliwa z natury, wybaczała ludziom wiele i mało wymagała od nich, nie tyle przez znajomość świata jak przez wrodzoną dobroć i delikatność. Szczera, prawa, otwarta, najmniejszy fałsz lub wybieg uważała za nikczemność, a nie umiejąc łudzić i oszukiwać, ufała innym sądząc ich podług siebie. Kierowała się zawsze pierwszym popędem, a ten popychał ją zawsze do poświęcenia i zaparcia siebie.

Hrabina dała jej jak najlepsze wychowanie, całe jej obejście nacechowane było niewysłowioną pańskością i wdziękiem. Jakkolwiek umiała cenić przyjemności jakie świat dać może, przekładała jednak samotność, życie czynne i pożyteczne. Może przyczyniła się do tak sromnych upodobań zmiana jej położenia, nie dlatego aby zbudziła w niej wstręt i zawiść do ludzi szczęśliwych, ale że cierpienie duszy, zarówno jak cierpienia ciała, wymagają spokoju i ciszy.

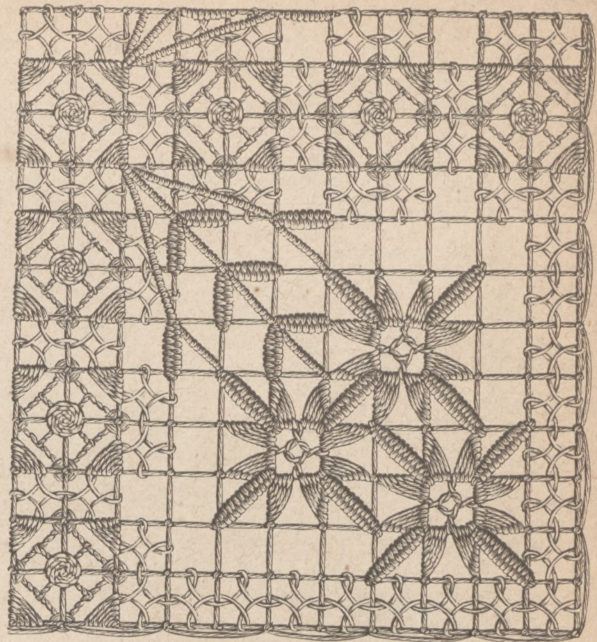
Wysokie ukształcenie ułatwiało pannie d'Astri tak odosobnione życie, lubiła czytać, umiała zrobić dobry wybór i czytała wiele; oprócz tego grała dobrze i rozumiała muzykę, śpiew jej chwytał za serce, a zręczne paluszki wykończały różne piękne robótki.

Świat w jakim wzrosła i żyła, z początku zaniepokoił się nagłem jej zniknięciem; hrabina znała i przyjmowała u siebie całe wyższe towarzystwo, to też wieść o jej nagłej śmierci rozeszła się bardzo szeroko. Zaczęły obiegać pogłoski że śmierci tej towarzyszyły jakieś dziwne, tajemnicze okoliczności do których mieli być wmieszani markiz i hrabia d'Elcairet. Ciekawość publiczna do tego stopnia została rozbudzoną, że niektórzy zwracali się wprost do Jerzego, pytając jak się rzecz miała, Jerzy wiedział co mówiono, wiedział iż pojedynek jego z księciem uważano za wynik ich współzawodnictwa do ręki Laury, ale udając że się niczego nie domyśla, odpowiadał wszystkim iż nie wie o niczem i że panna Fabiani odjechała do rodziny, do Włoch, jak tylko cokolwiek odzyskała siły, i odtąd nie ma żadnej o niej wiadomości. Odpowiedź ta, bardzo prawdopodobna, uwolniła go od dalszych dopytywań.

(d. c. n.)



N. 1. Czwarta część kwadratu ryc. 2.



N. 3. Czwarta część kwadratu ryc. 4.

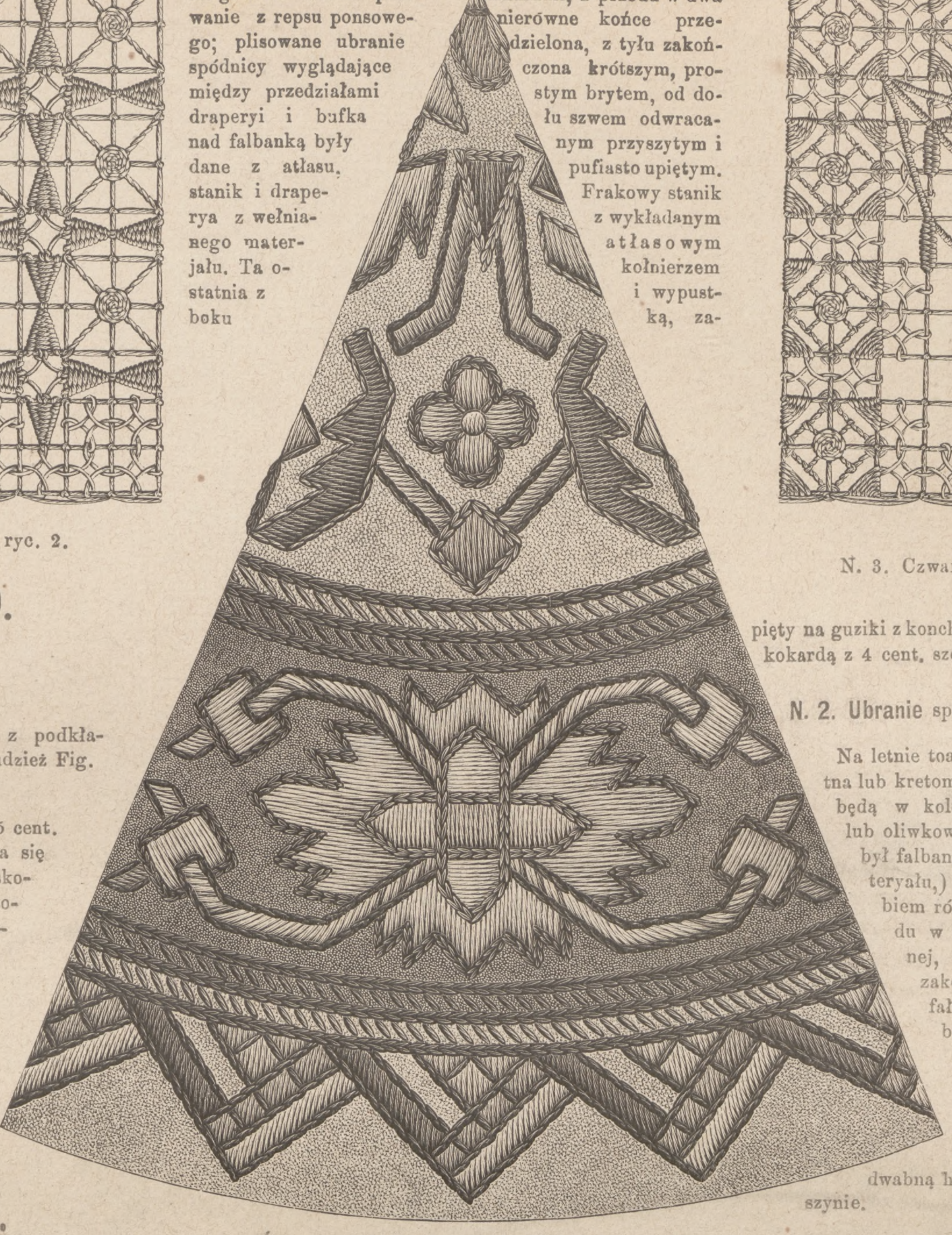
Opis do N-ru 19.

(Dokończenie).

N. 70. Podnóżek ozdobiony haftem z podkładaniem. Patrz ryc. 22—23 w N. 18 tudzież Fig. 92 na arkuszu z krojami.

Drewniana podstawa podnóżka liczy 15 cent. wysokości a 48 długości, na niej opiera się poduszka płasko wysłana, pokryta piaskowem płótnem na którem odrobiony efektowny haft z podkładaniem kiprowanej materyi złotawej (vieille or) i deseniowej jedwabnej pletni tegoż koloru. Fig. 92 załącza czwartą część środkowego deseniu, szlaki zaś podaliśmy w przeszłym N-rze na ryc. 22—23. Poduszkę po zupełnem wykończeniu przytwierdza się do podstawy drewnianej.

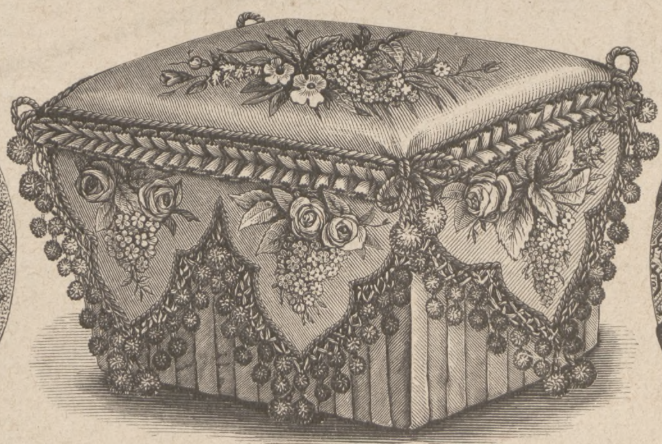
Opis do N-ru 20.



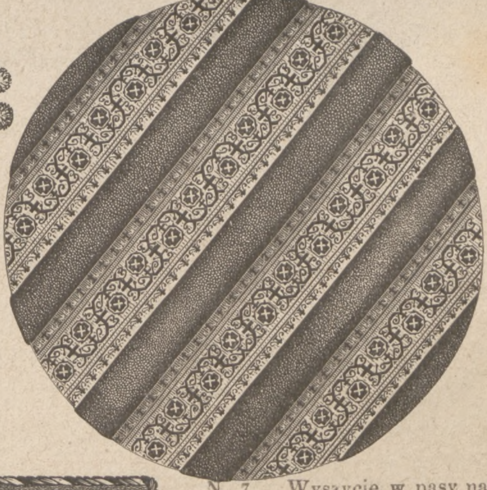
N. 5. Ósma część haftu do ryc. 6. Wielkość naturalna.



N. 6. Haft na poduszkę okrągłą lub taboret. Patrz ryc. 5.



N. 8. Kosz do robót lub negliżyków.



N. 7. Wyszycie w pasy na poduszkę lub taboret. Patrz ryc. 17 w N-rze 20.

N. 1. Ubranie spacerowe ze stanikiem frakowym.

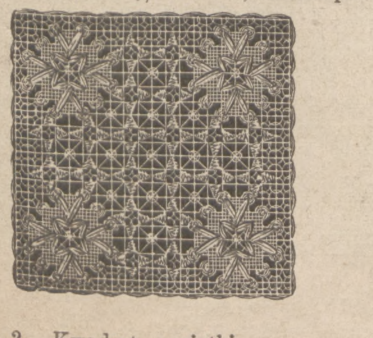
Model odrobiony był z wełnianego, krepowanego materyału, żółtawo piaskowego koloru, a ubrany atłasem takiegoż koloru. U doła spódnicy z pod 7 cent. szerokiej, wełnianej drobno plisowanej falbanki, wystaje na grubość słomki plisowanie z repsu ponsowego; plisowane ubranie spódnicy wyglądające między przedziałami draperyi i bufka nad falbanką były dane z atłasu, stanik i draperya z wełnianego materjału. Ta ostatnia z boku podpięta jest jedwabnemi sznurami, z przodu w dwa nierówne końce przedzielona, z tyłu zakończona krótszym, prostym brytem, od dołu szwem odwracanym przyszytym i pufiasto upiętym. Frakowy stanik z wykładanym atłasowym kołnierzem i wypustką, zapięty na guziki z konchy perłowej, na ramieniu ozdobiony kokardą z 4 cent. szerokiej, atłasowej wstążki.

N. 2. Ubranie spacerowe ze stanikiem paltocikowym.

Na letnie toalety lekkie wełniane materyały, płótna lub kretony i w tym roku najwięcej używane będą w kolorze granatowym, ciemno zielonym lub oliwkowym. Model do ryc. 2 ozdobiony był falbanką i szlakami, z tego co suknia materyału,) haftowanemi w maszynie jedwabiem różnokolorowym. Z pod tuniki z przodu w szerokie poprzeczne fałdy układanej, z tyłu prosto podpiętym brytem zakończonej, wygląda bardzo szeroka fałdowana falbana, zakończona obrębem z wypustką. Stanik paltocikowy, z przodu z odcinaną baskiną, z tyłu zdobią zręczne kieszonki. Żabot i ubranie mankietów koronkowe. Parasolik z tego co suknia materyału z podszewką jedwabną haftowaną różnemi kolorami w maszynie.

N. 3—4. Upięcia z kwiatów do kapeluszy.

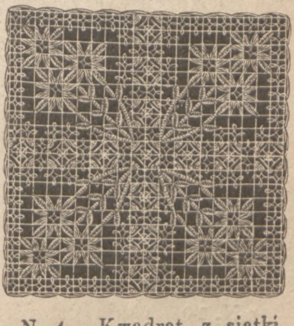
Tej wiosny kapelusze suto zdobią kwiatami, które układają się w pół wieńca z dodaniem koronki lub wstążki, lub w wianek otaczający kapelusz



N. 2. Kwadrat z siatki gipiurowej. Patrz ryc. 1.



N. 9. Dywanik z wyszyciem kolorowem.



N. 4. Kwadrat z siatki gipiurowej. Patrz ryc. 3.



N. 10. Suknia zdobna puklami. Patrz ryc. 18 i 28, tudzież ryc. 5 w N. 20.

N. 11. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki.

N. 12. Suknia z długiem vêtement. Patrz ryc. 30 i ryc. 27 w N. 20.

N. 13. Ubranie dla dziewczynki lat 5—8.

N. 14. Suknia z vêtement a panier. Patrz ryc. 34 i ryc. 28 w N. 20.

N. 15. Suknia z gorsecikowym stanikiem. Patrz ryc. 32 i 33.

N. 16. Ubranie dla osoby starszej.

N. 17. Okrycie z materyału w guście tureckim.

N. 18. Suknia zdobna puklami. Patrz ryc. 10.

N. 19. Ubranie dla dziewczynki lat 8—10. Patrz ryc. 15 w N. 20.

N. 20. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 21 i 29 tudzież ryc. 6, w N. 20.

N. 22. Sukieneczka marszczona dla małej dziewczynki.

N. 23. Suknia z bluzkowym stanikiem.

N. 21. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 20.

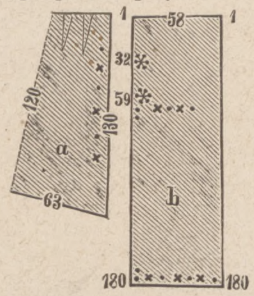


N. 24. Kapelusik okrągły dla dziewczynki.

przy którym tylko rondko podszywa się od spodu. Ryc. 3 przedstawia wieniec z aster różowych i ciemno karmazynowych niezapominajek i liści paproci; ryc. 4 pół girlandę z ciemnych liści i lewkonii do cieniu.

N. 11 — 14. Patarafka czaprak lub t. p. Haft wenecki.

Na tle ciemnym aksamitnym lub atłasowym bardzo dobrze odbija aplikacya z cienkiego płótna przyrobiona nitką złotą, ściegiem weneckim, którego próbkę naturalnej wielkości dajemy na ryc. 12. Kontury figur otaczają dwie nitki złote, (z których brzeżna układana w pikoty) przeszywane w różnych odstępach ściegami jedwabiu złotego koloru. Kawałek płótna na którem starannie odrysowany jest deseń najlepiej wszyć w krośna, a po skończeniu roboty wyciąć starannie tło między figurami i przymocować aplikacyą do aksamitu, pluszu lub atłasu, nićmi cienkiemi białemi, drobnemi ściegami kryjącemi się pod obwódką złotą. Model patarafki robionej na ciemno zielonym pluszu miał 24 centym. w kwadrat, podszewka była z materyi a brzegi oszyte grubym sznurem złotym. Haft taki może być użyty na czapraki poduszki do kanapy lub poduszeczki tualetowe. Deseń musi być stosownie do przeznaczenia powiększony lub zmniejszony. Monogram można odrobić takim sposobem jak narożniki lub wyhaftować jedwabiem i złotem.

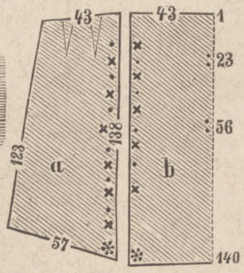


N. 28. Wskazanie kroju tuniki do r. 18



N. 26. Fotel robotą koszykarską z haftowanem przykryciem. Patrz ryc. 27.

sy 8 cent. szerokie z deseniowego materyału, na plisowaniu. Bryt tylny zakończony plisowaniem 28 cent. szerokiem, ozdobiony draperyą z brycika 66 cent. długiego a 64 szerokiego, u dołu troszkę zaokrąglonego i objętego pliską deseniową, z boków do 42 centym. przyfałdowanego i między szwy boczne wszytego, a w górze do 12 cent. objętości sfałdowanego i razem ze spódnicą w pasek wszytego. Bardzo długie przody stanika są z boków przyfałdowane i do plecków przyszyte. Kołnierz 8 c. mankiety 4 i pasek 5 cent. szerokie są z tureckiego materyału, przy sukience z beżu piaskowego.



N. 29. Wskazanie kro[illegible] do r. 20 i 21.



N. 25. Kapotka dla dziewczynki.

N. 16. Sukienka formą princesse dla panienki lat 8—10.

Ubranie z czerwonawo bronzowego kaszmiru składało się ze spódniczki z tyłu zakończonej plisowaniem i vetement formą princesse którego plecy złożone były w trzy kontrafałdy, 6 cent. szerokie. Przody tak długie jak cała sukienka, są u dołu na 24 cent. szerokości wązkiem plisowaniem zagarnirowane i ozdobione rodzajem szarf 34 cent. szerokich do 16 cent. sfałdowanych między boczne szwy wszytych i z przodu przerzuconych, które są z atłasu zarówno jak plisy na fałdach pleców na kołnierzu i mankietach.



N. 27. Bukiet wyszyty ściegiem tamborkowym ryc. 26.

N. 18 i 19. Szlaki do ozdoby sukien okryć i t. p.

Haftowane są różnokolorowemi szlifowanemi perełkami, z obwódką złotą ściegiem łańcuszkowym.

(d. n.)

N. 15 ryc. 19 w N. 21. Ubranie z długim stanikiem dla panienki lat 8-10.

Przód i boczne bryty spódniczki są na gładkiej podszewce ułożone w fałdy, dwa razy przestębnowane 13 cent. od dołu. Pa-



N. 30. Przód sukni, rycina 12.



N. 32. Suknia do ryc. 15.

N. 34. Suknia do ryc. 14.



N. 31. Przód sukni ryc. 35 w N-rze 20.



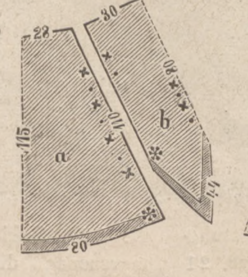
N. 36. Listek r. 18 w N. 20.



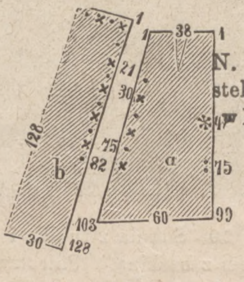
N. 37. Listek r. 19 w N. 20.



N. 38. Suknia balowa z bawetowym stanikiem.



N. 33. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 15 i 32.



N. 35. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 20—21 w N. 20.



N. 39. Suknia balowa z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 38 w N-rze 20.